

— Fulton J. —
SHEEN

Zaskakująca interpretacja ostatnich słów Jezusa



**SIEDEM
GRZECHÓW
GŁÓWNYCH**

w|drodze

SIEDEM
GRZECHÓW
GŁÓWNYCH

— Fulton J. —
SHEEN



**SIEDEM
GRZECHÓW
GŁÓWNYCH**

Przełożyła Małgorzata Figurna-Rogalińska

w|drodze
⊕

Tytuł oryginału
Seven Capital Sins

Copyright permission was granted by The Estate of Fulton J. Sheen/The Society for the Propagation of
the Faith/www.missio.org

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2018

Redaktor prowadzący
Lidia Kozłowska

Redakcja
Barbara Popiel

Korekta
Agnieszka Czapczyk, Barbara Popiel

Projekt okładki i stron tytułowych
Radosław Krawczyk

Ilustracja na okładce
Kopia obrazu Hieronima Boscha *Kuszenie św. Antoniego* (ok. 1530–1600)
www.rijksmuseum.nl

Redaktor techniczny
Justyna Nowaczyk

Łamanie
Stanisław Tuchołka • panbook.pl

ISBN 978-83-7906-196-9

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie I, 2018
ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań
tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82
sprzedaz@wdrodze.pl www.wdrodze.pl

*Maryi Niepokalanej
z synowskim hołdem*

Szczególne słowo podziękowań dla brata Jima Sullivana OMI z parafii Matki Bożej Lourdes w Lesmurdie, Zachodnia Australia, oraz Fulton J. Sheen Society of Perth, Western Australia, Inc. [Stowarzyszenia Fultona J. Sheena] z Perth, Zachodnia Australia, za zachętę do wydania tej książki i udostępnienie nam jej tekstu.

I

SŁOWO PIERWSZE: GNIEW

„Ojcie, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

(Łk 23,34)¹

Kazanie wygłoszone 26 lutego 1939 roku

Pierwsze słowo z krzyża było zadośćuczynieniem za grzech gniewu. Żądza gniewu jest zakorzeniona w racjonalnej naturze człowieka głębiej niż jakakolwiek inna. Gniew i rozum zdolne są do zgodnego współdziałania, ponieważ gniew znajduje oparcie w rozumie, który ocenia wagę wyrządzonej krzywdy i pożądanej satysfakcji. Nigdy się nie gniewamy, o ile ktoś nas w jakiś sposób nie zrani – lub o ile nie sądzimy, że to uczynił.

Lecz nie każdy gniew jest grzeszny, gdyż jest taka rzecz jak gniew sprawiedliwy. Najdoskonalszy przykład gniewu sprawiedliwego znajdujemy w akcie oczyszczenia świątyni przez naszego błogosławionego Pana. Gdy Jezus szedł przez jej cieniste przejścia w czasie święta Paschy, napotkał chciwych handlarzy, na każdym kroku gnębiących wiernych, którzy potrzebowali jagniąt i gołębi na złożenie świątynnej ofiary. Sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, szedł pośród nich spokojnie, z godnością i piękną samokontrolą, bardziej jeszcze wymowną niż ów bicz. Biczem tym wypędził woły i owce; rękoma powywracał stoły bankierów, którzy na posadzce szukali toczących się monet; palcem mierzył w handlarzy gołębi, każąc im opuścić zewnętrzny dziedziniec; a do wszystkich powiedział: „Weźcie to stąd, a nie róbcie z domu mego Ojca targowiska!” (J 2,16). W ten sposób wypełnił się biblijny nakaz „Gniewajcie się, a nie grzeszcie” (Ef 4,26), gdyż gniew nie jest grzechem pod trzema warunkami: 1) jeśli przyczyna gniewu jest słuszna, na przykład w obronie czci Boga; 2) jeśli gniew nie jest większy niż jego przyczyna, czyli jeśli jest pod kontrolą; 3) jeśli jest szybko stłumiony: „Niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce!” (Ef 4,26).

Jednak my nie zajmujemy się gniewem sprawiedliwym, ale niesprawiedliwym, to znaczy takim, który nie ma prawowitej przyczyny – gniewem, który jest nadmierny, mściwy i zapamiętały; tym rodzajem gniewu i nienawiści do Boga, który zniszczył religię na jednej szóstej powierzchni ziemi, spalił niezliczoną ilość kościołów i kaplic oraz wymordował więcej sług Bożych niż w którymkolwiek z poprzednich stuleci; tym rodzajem gniewu, który jest skierowany nie tylko przeciw Bogu, lecz także przeciw współbraciom, i podsycany przez apostołów walki klasowej, którzy mówią o pokoju, lecz chwałę znajdują w wojnie; czerwonym gniewem, który wytacza krew na zewnątrz, i białym gniewem, który włacza ją do środka i wybiela twarz; gniewem, który pragnie „wyrównania”, odpłaty pięknym za nadobne: wstrząs za wstrząs, cios za cios, oko za oko, kłamstwo za kłamstwo; gniewem zaciśniętej pięści, gotowej, by uderzyć nie w obronie tego, co ukochane, ale w walce z tym, co znieprawione; tym rodzajem gniewu, który zniszczy naszą cywilizację, o ile nie stłumi go miłość.

Nasz błogosławiony Pan przyszedł, by zadośćuczynić za grzech gniewu: najpierw nauczył nas modlitwy: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, a następnie dał nam przykazanie: „Kochajcie waszych nieprzyjaciół, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą”. I dodał coś jeszcze bardziej konkretnego: „Zmusza cię ktoś, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące! (...). Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz!” (Mt 5,40). Zemsta i odwet zostały zabronione: „Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb! (...) A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół” (Mt 5,38.44). Nakazy te nabrały tym większej mocy, że On je praktykował. Gdy mieszkańcy Gerazy rozgniewali się na Niego, ponieważ większą wartość miał w jego oczach cierpiący człowiek niż stado świń, Pismo Święte nie odnotowuje żadnej riposty. „On wsiadł do łodzi, przepłynął się z powrotem i przyszedł do swego miasta” (Mt 9,1). Żołnierzowi, który uderzył Go zbrojną pięścią, odpowiedział łagodnie: „Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego Mnie bijesz?” (J 18,23).

Doskonałe zadośćuczynienie za gniew dokonało się na Kalwarii. Można by prawie powiedzieć, że gniew i nienawiść zawiodły Jezusa na to wzgórze. Jego własny lud nienawidził Go i prosił, by Go ukrzyżowano; był

znenawidzony przez prawo, ponieważ odrzucało ono sprawiedliwość, by potępić Sprawiedliwość; nienawidzili go nie-Żydzi, gdyż zgodzili się na Jego śmierć; nienawidziły Go lasy, bo jedno z drzew nosiło ciężar Jego ciała; nienawidziły Go kwiaty, gdyż uwiły na jego czoło cierniowy wieniec; nienawidziły Go trzewia ziemi, bo wydały z siebie stal dla młota i gwoździ. Następnie, jak gdyby uosabiając całą tę nienawiść, pierwsze w historii pokolenie zaciśniętych pięści stało pod krzyżem i potrząsało nimi przed twarzą Boga. Owego dnia podarli ciało Jezusa na strzepy, a dziś rozbijają na kawałki Jego tabernakulum. Ich synowie i córki roztrzaskują krzyże, jak niegdyś na Kalwarii tamci godzili w Ukrzyżowanego. Niech nikt nie sądzi, że zaciśnięta pięść jest fenomenem obecnego wieku; ci, których serca twardeją dziś w zaciśniętą pięść, są spadkobiercami tamtych, którzy dwa tysiące lat temu stali pod krzyżem z rękami podniesionymi niczym maczugi przeciw Miłości.

Gdy kontempluje się te zaciśnięte pięści, nie można nie poczuć, że gdyby gniew mógł kiedykolwiek być usprawiedliwiony, gdyby kiedykolwiek Sędzia mógł wydać właściwy osąd, gdyby kiedykolwiek Moc mogła prawowicie runąć z nieba, gdyby kiedykolwiek Niewinność mogła zgodnie z prawem protestować, gdyby Bóg kiedykolwiek zgodnie z prawem zemścił się na człowieku – to właśnie w tej chwili. A jednak w tej sekundzie, gdy sierp i młot się połączyły, by ściąć trawę na wzgórzu kalwaryjskim, wznieść krzyż i przebić gwoźdźmi Ręce, czyniąc bezsilnymi błogosławieństwa Miłości Wcielonej, On – niczym drzewo, w którego woni skąpany jest zabijający je topór – pozwala, by z Jego ust padło na ziemię pierwsze doskonałe zadośćuczynienie za grzechy gniewu i nienawiści: modlitwa za armię zaciśniętych pięści, pierwsze słowo z krzyża: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią” (Łk 23,34).

Największy grzesznik może teraz być ocalony; najczarniejszy grzech wymazany; zaciśnięta pięść może teraz zostać otwarta; nieprzebaczone może zostać wybaczone. Gdy ludzie są całkowicie pewni tego, że wiedzą, co robią, On chwyta się jedyne możliwego wytłumaczenia ich zbrodni i narzuca je swemu Ojcu Niebieskiemu z całą gorliwością miłosiernego serca: niewiedza – „nie wiedzą, co czynią”. Gdyby istotnie wiedzieli, co czynią, przybijając Miłość do drzewa, i nadal to czynili, nigdy nie zostaliby

zbawieni. Zostaliby potępieni. Tylko dlatego, że ręce były zaciśnięte w pięści z niewiedzy, mogą one otworzyć się i złożyć do modlitwy; tylko dlatego, że języki bluźniły z niewiedzy, mogą jeszcze przemawiać modlitwą. Tym, co je zbawia, nie jest świadoma mądrość; jest tym nieświadoma niewiedza.

Słowo z krzyża uczy nas dwóch rzeczy: powodem do przebaczenia jest niewiedza, a przebaczenie nie ma granic.

Powodem do przebaczenia jest niewiedza. Boża Niewinność znalazła taki powód do przebaczenia. W pierwszej mowie po zesłaniu Ducha Świętego tym właśnie usprawiedliwieniem – niewiedzą – ukrzyżowania, tak świeżego w pamięci, posłużył się św. Piotr: „Zabiliście Dawcę życia, ale Bóg wskrzesił Go z martwych (...). Lecz teraz wiem, bracia, że działaliście w nieświadomości, tak samo jak zwierchnicy wasi” (Dz 3,15.17). Gdyby istniała pełna świadomość zła, działanie doskonale umyślne, doskonale zrozumienie konsekwencji czynów, nie byłoby miejsca na wybaczenie. Dlatego nie ma odkupienia dla upadłych aniołów. One wiedziały, co robią. My nie wiemy. Jesteśmy ignorantami co do samych siebie i co do innych.

Ignorancja odnośnie do innych! Jakże mało wiemy o ich motywacjach, dobrej wierze, okolicznościach popełnianych czynów. Gdy inni stosują wobec nas przemoc, zbyt często zapominamy, jak niewiele wiemy o ich sercach, i mówimy: „Nie widzę najmniejszego usprawiedliwienia; bardzo dobrze wiedzieli, co czynią”. A jednak dokładnie w takich samych okolicznościach Jezus znalazł usprawiedliwienie: „Nie wiedzą, co czynią”. Nie wiemy nic o wnętrzach serc naszych bliźnich i stąd odmawiamy przebaczenia. On znał serca ludzi na wylot i dlatego właśnie przebaczył. Weźmy scenę wypadku i pozwólmy przyjrzeć się jej pięciu osobom, a otrzymamy pięć różnych opowieści o tym, co się zdarzyło. Nikt nie zobaczy wszystkich stron tego wydarzenia. Nasz Pan je widzi i dlatego wybacz.

Dlaczego jest tak, że potrafimy znaleźć usprawiedliwienie dla swojego gniewu na bliźniego, a jednak odmawiamy uznania tych samych usprawiedliwień, gdy nasz bliźni gniewa się na nas?

Mówimy, że inni wybaczyliby nam, gdyby rozumieli nas w sposób doskonały, a jedynym powodem ich gniewu na nas jest to, że „nie rozumieją”. Dlaczego ta ignorancja dotyczy tylko jednej strony? Czy i my nie

jesteśmy przypadkiem ignorantami w kwestii ich motywacji, tak jak oni w kwestii naszej? Czy nasza odmowa znalezienia usprawiedliwienia dla ich nienawiści nie implikuje, że w podobnych okolicznościach oni nie uznają nas za godnych przebaczenia?

Katolikom zatem nie wolno nienawidzić bigotów, komunistów i prześladowców Kościoła, gdyż większość z nich nie wie, co robi. Wszystkim, którzy piszą do mnie jadowite listy na temat Kościoła, odpowiadam: „Rozumiem całkowicie Pana / Pani nienawiść do Kościoła i księży. Gdybym został wychowany jak Pan / Pani i mówiono by mi tę samą nieprawdę co Panu / Pani, i wierzyłbym w oszczerstwa przeciw niemu, w które Pan / Pani wierzy, to z moim charakterem i szczególną dyspozycją nienawidziłbym Kościoła dziesięć razy więcej niż Pan / Pani. Tak naprawdę Pan / Pani nie nienawidzi Kościoła katolickiego, lecz jedynie tego, co Pan / Pani o nim sądzi”. Nie możemy domagać się udziału w przebaczeniu płynącym z pierwszego słowa z krzyża, o ile nie jesteśmy gotowi usprawiedliwić innych, tak jak nasz Pan usprawiedliwił ich wobec nas. Modlimy się, by wybaczone nam nasze występki, ale takie przebaczenie będzie udzielone tylko pod jednym i nie innym warunkiem, a jest nim: „Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Nieznajomość siebie samego jest kolejnym powodem, by wybaczać innym. Niestety, samych siebie znamy najmniej; grzechy naszych bliźnich, ich słabości i porażki znamy tysiąc razy lepiej niż własne. Krytyka innych jest wprawdzie zła, lecz to brak samokrytyki jest gorszy. Mniej niewłaściwe byłoby krytykowanie innych, gdybyśmy najpierw skrytykowali siebie, ponieważ zwróciwszy reflektor we własne dusze, poczulibyśmy, że nigdy nie mamy prawa zwracać go na dusze innych. Tylko dlatego, że nie znamy naszej prawdziwej kondycji, nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo potrzebujemy tego, by nam przebaczone. Czy kiedykolwiek obraziliśmy Boga? Czy On ma jakiegokolwiek prawo, by się na nas gniewać? Więc dlaczego my, którzy tak bardzo potrzebujemy przebaczenia, nie usiłujemy nabywać go poprzez wybaczenie innym?

Odpowiedź brzmi: jest tak dlatego, że nigdy nie badamy własnego sumienia. Jesteśmy takimi ignorantami w kwestii swej prawdziwej kondycji, że wiemy o sobie niewiele więcej niż imię, adres i jak wiele mamy,

a o swoim samolubstwie, zazdrości, rozproszeniu i grzechu nie wiemy absolutnie nic. Zaiste, aby nigdy siebie nie poznać, nienawidzimy ciszy i samotności. Aby nasze sumienia nie zaprowadziły nas do trudnych do zniesienia odpowiedzi, zagłuszamy ich głos zabawą, rozrywkami i hałasem. Gdybyśmy spotkali siebie w innych, znienawidzilibyśmy ich. Gdybyśmy znali siebie lepiej, bylibyśmy bardziej przebaczący wobec innych. Im twardsi jesteśmy wobec siebie, tym łagodniejsi będziemy wobec innych; człowiek, który nigdy nie nauczył się być posłuszny, nie będzie umiał rozkazywać; człowiek, który nigdy nie dyscyplinował siebie samego, nie wie, jak być miłosiernym. Ludzie samolubni zawsze są nieuprzejmi wobec innych, a ci, którzy są bardzo surowi wobec siebie, są najuprzejmiejsi dla innych; tak jak nauczyciel mający najmniejszą wiedzę jest zawsze najmniej tolerancyjny wobec swych uczniów.

Tylko Pan, który tak mało myślał o sobie, że stał się człowiekiem i umarł jak przestępca, mógł przebaczyć słabość tym, którzy Go ukrzyżowali. To nie nienawiść jest niewłaściwą rzeczą: to nienawiść wobec rzeczy niewłaściwej jest niewłaściwa. To nie gniew jest niewłaściwy, to gniewanie się na niewłaściwą rzecz jest niewłaściwe. Powiedz mi, kim jest twój wróg, a powiem ci, kim jesteś. Powiedz mi o swojej nienawiści, a ja powiem ci coś o twoim charakterze. Czy nienawidzisz religii? To znaczy, że przeszkadza ci sumienie. Nienawidzisz kapitalistów? Wobec tego jesteś pazerny i sam chcesz być kapitalistą. Nienawidzisz robotnika? Wobec tego jesteś samolubnym snobem. Nienawidzisz grzechu? Wobec tego kochasz Boga. Nienawidzisz swej nienawiści, zapalczywości, nikczemności? Wobec tego masz dobrą duszę, gdyż „Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści (...) nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem” (Łk 14,26).

Kolejna nauka, którą należy zaczerpnąć z pierwszego słowa z krzyża, jest taka, że przebaczenie nie ma granic. Nasz Pan przebaczył nam, ponieważ był niewinny, a nie dlatego, że Jemu samemu przebaczone. Stąd też musimy przebaczać nie tylko wtedy, kiedy nam przebaczone, lecz także gdy jesteśmy niewinni. Problem granic przebaczenia trafił Piotra, który zapytał Pana: „Panie, ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat zawini względem mnie? Czy aż siedem razy?” (Mt 18,21). Piotr sądził, że rozciągnął możliwość

przebaczenia, mówiąc siedem razy, bo było to o cztery razy więcej, niż Żydzi uważali za odpowiednie. Piotr zaproponował limit, po przekroczeniu którego miało nie być przebaczenia; założył, że prawo do przebaczenia automatycznie wygasa po siedmiu wykroczeniach. Jest to równoznaczne z powiedzeniem: „Rezygnuję ze swego prawa, by odebrać od ciebie dług, o ile nigdy nie będziesz mi winien więcej niż siedem dolarów. Lecz jeśli przekroczysz tę sumę, wówczas mój obowiązek darowania długu ustaje. Mam prawo udusić cię za osiem dolarów”.

Nasz Pan, odpowiadając Piotrowi, mówi, że w wybaczeniu nie ma limitów: przebaczenie jest wyzbyciem się wszelkich praw i odmową wyznaczania limitów. „Nie mówię ci, że aż siedem razy, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy” (Mt 18,22). Nie oznacza to czterysta dziewięćdziesiąt, lecz nieskończenie wiele. Następnie Zbawiciel opowiedział przypowieść o nielitościwym dłużniku, który natychmiast po darowaniu mu przez pana długu wynoszącego dziesięć tysięcy talentów – zaczął dusić swego współsługę, który był mu winien sto denarów. Wynika z tego jasno, że Bóg wybacza nam występki niewspółmierne do tych, które popełniają wobec nas nasi bliźni; proporcja wymieniona w przypowieści wynosi jeden i ćwierć miliona do jednego. Nielitościwemu dłużnikowi cofnięto darowanie długu dlatego, że odmówił okazania litości wobec swego dłużnika. Jego winą nie było to, że potrzebując litości, nie chciał jej okazać, lecz to, że zaznał litości, a sam nadal był nielitościwy. „Podobnie uczyni wam Ojciec mój niebieski, jeżeli każdy z was nie przebaczy z serca swemu bratu” (Mt 18,35).

Wybaczaj więc, a i tobie będzie wybaczone; odwróć swój gniew od innych, a i Bóg odwróci swój gniew od ciebie. Sądzenie innych to żniwa: siejemy to, co potem zbieramy. Jeśli w życiu zasialiśmy gniew przeciw braciom, zbierzemy słuszny gniew Boży. Nie sądźmy, a nie będziemy sądzeni. Jeśli w życiu przebaczymy z serca innym, w Dzień Sądu Bóg Wszechwiedzący pozwoli sobie na coś bardzo niezwykłego: zapomni, jak się dodaje, i będzie wiedział tylko, jak odejmować. Ten, którego pamięć obejmuje całą wieczność, nie będzie dłużej pamiętał naszych grzechów. Przeto raz jeszcze będziemy zbawieni poprzez boską „niewiedzę”. Pozostając na gruncie przebaczenia innym, bo nie wiedzą, co czynią, nasz Pan przebaczy nam, ponieważ nie będzie dłużej pamiętał tego, co uczyniliśmy. Może też być

tak, że gdy spojrzy na rękę, która po usłyszeniu pierwszego słowa z krzyża z dobrocią pobłogosławi wroga, zapomni nawet o tym, że ręka ta była niegdyś zaciśniętą pięścią czerwoną od krwi chrześcijańskiej.

Czy śmiesz swe życie nadal na występkach trawić
i konającego Pana znowu ukrzyżować?
Czy nie wystarczy Jego bólu? Musi krwawić
jeszcze? Lubyh grzechów gad żerować
ma na tych katuszach, ciągle powiększając
mękę Pana Chwały, smutku jej dodając?
Czy nie ma litości? Czy w piersi człowieka
żał nie mieszka, czy między sercem stworzenia
a miłosierdziem rozwarła się ziemia
i w rozłączeniu trwają, a czas ucieka?
Nie ma miłosierdzia wśród nas, Ty jedyny
masz je, słodki Jezu, dla nas, a my dla Ciebie
nie mamy nic; tak wielką dałeś za nas cenę,
że przewyższa to, co na ziemi jest i w niebie.
Nie, błogosławiony Panie, my nie mamy czym
napęłnić naszych pustych i ospałych serc, o ile
nie zwrócimy się do Ciebie, co masz moc
by dawać, gdy my Cię co chwilę
krzyżujemy; okrutni dla Ciebie, dla siebie, prosimy:
Panie, przebacz, nie wiemy, co czynimy.

Francis Quarles²

II

SŁOWO DRUGIE: ZAWIŚĆ

„Dziś ze Mną będziesz w raju”.

(Łk 23,43)

Kazanie wygłoszone 5 marca 1939 roku

Drugie słowo z krzyża było zadośćuczynieniem za grzech zawiści. Zawiść to smutek z powodu dobra drugiego człowieka i radość ze zła, którego on doświadcza. Tym, czym dla żelaza jest rdza, czym mole dla wełny, czym termity dla drewna, tym dla duszy jest zawiść: zabójstwem miłości bratniej. Nie zajmuje nas tutaj słuszna zazdrość czy zapał, który inspiruje, by brać dobry przykład i postępować za tymi, którzy są lepsi od nas, gdyż Pismo Święte zachęca nas do „pragnienia duchowych darów”; natomiast w tym miejscu dotkniemy problemu grzesznej zawiści, która jest rozmyślnym smuceniem się z dobra duchowego lub doczesnego drugiej osoby z powodu, który zdaje się umniejszać nasze własne dobro. Hołd składany komuś zawistny człowiek postrzega jako odbicie hańby, która spada na niego samego, i wskutek tego odczuwa smutek. Zawiść przejawia się w niezgodzie, nienawiści, złośliwej radości, obmowie, oszczerstwie, przypisywaniu komuś złych motywacji, zazdrości, kalumniach. Przykład tego rodzaju zawiści spotykamy u jednej z dwóch kobiet, które prosiły Salomona o rozstrzygnięcie swego sporu. Pierwsza kobieta rzekła:

Ja i ta kobieta mieszkamy w jednym domu. Ja urodziłam, kiedy ona była w domu. A trzeciego dnia po moim porodzie ta kobieta również urodziła. Byłyśmy razem. Nikogo innego z nami w domu nie było, tylko my dwie. Syn tej kobiety zmarł w nocy, bo położyła się na nim. Wtedy pośród nocy wstała i zabrała mojego syna od mego boku, kiedy twoja służebnica spała, i przyłożyła go do swoich piersi, położywszy przy mnie swego zmarłego syna. Kiedy rano wstałam, aby nakarmić mojego syna, patrzę, a oto on martwy! Gdy mu się przyjrzałam przy świetle, rozpoznałam, że to nie był mój syn, którego urodziłam (1 Krl 3,17–21).

Na to odparła druga kobieta: „Wcale nie, bo mój syn żyje, a twój syn zmarł” (1 Krl 3,22).

Ponieważ nie było świadków, Salomon rozkazał przynieść miecz, gdyż słusznie osądził, że serce prawdziwej matki raczej poniecha dziecka, niż zechce widzieć je martwe. Wymachując lśniącym mieczem, powiedział:

„Rozetnijcie to żywe dziecko na dwoje i dajcie połowę jednej i połowę drugiej!”. Wówczas kobietę, której syn był żywy, zdjęła litość nad swoim synem i zawołała: „Litości, panie mój! Niech dadzą jej dziecko żywe, abyście tylko go nie zabijali!”. Tamta zaś mówiła: „Niech nie będzie ani moje, ani twoje! Rozetnijcie!”. Na to król zabrał głos i powiedział: „Dajcie tamtej to żywe dziecko i nie zabijajcie go! Ona jest jego matką” (1 Krl 3,25–27).

Cała historia sprowadza się do tego, że zawiść o dobro drugiej osoby może dojść do takiego stopnia, że nie odczuwa się skrępowań, by odebrać komuś życie.

W naszych czasach zawiść przybrała formę ekonomiczną. Z zachłannością bogatych idzie w parze zawiść ludzi biednych. Niektórzy biedni nienawidzą bogatych nie dlatego, że tamci niesprawiedliwie ukradli ich własność, ale dlatego, że biedni sami chcą posiadać tę własność. Dla niektórych spośród tych, którzy nie mają, bogactwo tych, którzy mają, jest skandalem dlatego tylko, że ubodzy odczuwają pokusę pożądlivosti posiadania bogactw. Biedni często nienawidzą bogatych tylko dlatego, że sami chcą być bogaci; zazdroszczą bogatym nie tyle z potrzeby posiadania, ile z chciwości. Wiąże się z tym zawiść społeczna lub snobizm, który drwi z wyższej pozycji innych osób, ponieważ snyby chcą zasiadać na stołkach i słuchać oklasków. Zakładają, że skoro sami nie zdobywają względów i popularności, to zostali pozbawieni tego, co im się należy. Dlatego nienawidzimy tych, którzy nie zwracają na nas należytej uwagi, i kochamy tych, którzy nam schlebiają. Jeśli zawiść dziś rośnie w siłę, a tak niewątpliwie jest, to dlatego, że nastąpił spadek wiary w życie przyszłe i Bożą sprawiedliwość. Jeśli to życie jest wszystkim, ludzie uważają, że powinni mieć wszystko. W takim razie zawiść wobec innych staje się regułą panującą w ich życiu.

Nasz Pan nie ustawał w głoszeniu nauki przeciwko zawiści. Tym, którzy byli zazdrośni o miłosierdzie roztoczone nad zaginioną owcą, przytoczył obraz aniołów w niebie, radujących się bardziej z jednego grzesznika czyniącego pokutę niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi, którzy nie potrzebują jej czynić. Tych, którzy byli zazdrośni o bogactwo, przestrzegając: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną” (Mt 6,19–20). Tym, którzy byli zazdrośni o władzę, jak apostołowie sprzecząc się o pierwszeństwo w królestwie niebieskim, pokazał dziecko, postawił je pośrodku nich, otoczył ramionami i przypomniał, że niebo jest otwarte tylko dla tych, którzy są tak prości jak dzieci, gdyż Chrystus jest obecny nie w rzeczach wielkich, lecz małych: „A kto by jedno takie dziecko przyjął w imię moje, Mnie przyjmuje (Mt 18,5). A kto Mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który mnie posłał” (Mt 10,40).

Ale Jego nauczanie przeciw zawiści nie ocaliło Go przed zawistnymi. Piłat zazdrości Mu władzy; Annasz zazdrości niewinności; Kajfasz popularności; Herod wyższości moralnej; uczeni w Piśmie i faryzeusze zazdrością Mu mądrości. Wszyscy oni zbudowali sobie trony sędziowskie z fałszywej moralnej wyższości i z ich wysokości skazali Moralność na krzyż. I aby Chrystus już nie mógł dłużej być osobą, której się zazdrości, wyrobili Mu reputację niktzemnika. Urodzonego między wołem i osłem, teraz krzyżują Go między dwoma łotrami. To była ostatnia zniewaga, jaką mogli Mu wyrządzić. Dla ludzkich oczu stworzono wrażenie, że na tle nieba widnieją sylwetki trzech, a nie dwóch zbrodniarzy. W pewnym sensie było to prawdą: dwóch kradło złoto z chciwości, a jeden kradł serca z miłości. *Salvandus*, *Salvator* i *Salvatus*: łotr, który mógł zostać zbawiony; łotr, który został zbawiony; i Zbawca, który ich ocalił. Krzyże przemawiały słowami: zazdrość, miłosierdzie, litość.

Łotr po lewej stronie zazdrościł naszemu Panu władzy. Podobnie jak kapłani, uczeni w Piśmie i starsi wyszydzała Zbawiciela, drwiąc: „Innych wybawiał, niechże teraz siebie wybawi” (Łk 23,35), łotr z lewej dodał do tych urągania jeszcze to: „Czyż Ty nie jesteś Mesjaszem? Wybaw więc siebie i nas” (Łk 23,39). Innymi słowy: „Gdybym to ja miał tę władzę, którą ty

twierdzisz, że jako Mesjasz posiadasz, zrobiłbym z niej inny użytek zamiast bezradnie wisieć na krzyżu. Zszedłbym z krzyża, poraził moich wrogów i pokazał im, czym naprawdę jest władza”. I tak oto zawiść ukazuje, że gdyby posiadała dary, których zazdrości innym, użyłaby ich w niewłaściwy sposób, ponieważ łotr z lewej strony poświęciłby zbawienie za uwolnienie od gwoździ. Podobnie wielu ludzi, którzy zazdrozczą bogactw innym, prawdopodobnie straciłoby swe dusze, gdyby te bogactwa posiadało. Zawiść nigdy nie myśli o odpowiedzialności. Patrząc tylko na siebie, niewłaściwie używa każdego daru, jaki spotka na drodze.

Litość wywiera zupełnie inny wpływ na duszę. Łotr po prawej stronie nie zazdrościł Panu władzy, a jedynie litował się nad jego cierpieniem. Karcąc swego towarzysza z lewej, powiedział: „Ty nawet Boga się nie boisz, chociaż tę samą karę ponosisz? My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki, ale On nic złego nie uczynił” (Łk 23,40–41). Nie było w nim cienia zawiści. Nie chciał zupełnie niczego, nawet tego, aby wybawiono go z tragicznego towarzystwa krzyża. Nie zazdrościł władzy Bogu, bo Bóg najlepiej wie, co z nią uczynić. Nie zazdrościł swoim towarzyszom, bo nie mieli nic wartościowego do ofiarowania. Więc zdał się na łaskę Bożej Opatrzności i poprosił tylko o przebaczenie: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa” (Łk 23,42). Umierający człowiek poprosił o życie umierającego Człowieka; człowiek, który nie miał niczego, poprosił Ubogiego Człowieka o królestwo; łotr u wrót śmierci poprosił, by mógł umrzeć jak łotr i ukraść raj. A ponieważ o nic nie był zazdrosny, otrzymał wszystko: „Zaprawdę, powiadam ci: Dziś ze Mną będziesz w raju” (Łk 23,43). Ktoś mógłby pomyśleć, że świętym będzie pierwszy człowiek nabyty na kalwaryjskiej ladzie za czerwone monety odkupienia, ale w Bożym planie okazał się nim łotr, który kradnie ten przywilej i wkracza do raju w eskorcie Króla Królów.

Drugie słowo z krzyża uczy nas, że zawiść to źródło mylnego osądzania innych osób. Istnieje prawdopodobieństwo, że jeśli żywimy zawiść wobec innych, to w dziewięciu przypadkach na dziesięć mylnie osądzamy ich charaktery. Ponieważ łotr po lewej zazdrościł naszemu Panu władzy, mylnie Go osądził i nie zaznał ani Bóstwa Zbawiciela, ani swego własnego zbawienia. Próbował w sposób fałszywy dowodzić, że władza zawsze

powinna być używana w taki sposób, w jaki on by jej użył, to znaczy zamienił gwoździe w pączki róż, krzyż w tron, krew w królewską purpurę, a źdźbła trawy na wzgórzu w gotowe do ataku stalowe bagnety. Nikt inny w historii zbawienia nie był bliższy odkupienia, a jednocześnie nikt inny tak bardzo się od niego nie oddalił. Zawiść spowodowała, że poprosił o niewłaściwą rzecz: poprosił, by go spuszczone z krzyża, a powinien był poprosić, by go podniesiono. Każde nam to pomyśleć o równie mylnym osądzie, jakim kierował się powodowany zawiścią Herod: dokonał rzezi niewiniątek, gdyż sądził, że nowo narodzony Król zburzy ziemskie królestwo, podczas gdy przyszedł On, by zapowiedzieć królestwo niebieskie.

Tak samo jest z nami. Obmowa, kalumnie, fałszywy osąd, wszystko to rodzi się z zawiści. Mówimy: „On jest zazdrosny” albo „Ona jest zazdrosna”; ale skąd wiedzielibyśmy o tym, gdybyśmy sami nie zaznali tego uczucia? Skąd wiedzielibyśmy, że inni kierują się pychą, gdybyśmy nie wiedzieli sami, jak się przejawia pycha? Każde zazdrosne słowo opiera się na mylnym osądzie naszej własnej wyższości moralnej. Gdy zabieramy się za osądzanie kogoś, czujemy, że jesteśmy ponad osądzanym, sprawiedliwsi i bardziej niewinni niż on. Oskarżać innych to mówić: „Ja taki nie jestem”. Zazdrościć innym to mówić: „Ukradłeś to, co jest moje”. Skutkiem zawiści o bogactwo innych jest ciężki błąd w osądzie, wedle którego najlepszym sposobem zniesienia niewłaściwego zarządzania bogactwem byłoby odebranie bogatym ich własności przemocą, tak aby ci, którzy ją odbiorą, mogli z kolei zaznać radości z niewłaściwego używania bogactw. Zawiść wobec osób sprawujących władzę dała początek błędnej filozofii, głoszącej, że nawet rządy mogą zostać obalone, jeśli zorganizowana przemoc jest wystarczająco silna, by to zrobić. Zawiść zatem staje się zaprzeczeniem sprawiedliwości i miłości. U pojedynczych ludzi rozwija się z niej cynizm, który niszczy wszelkie moralne wartości, gdyż powodując bankructwo innych, sami stajemy się bankrutami. W grupach rozwija się z niej postawa oszukańcza, każąca z fałszywą serdecznością dopóty wyciągać rękę do tych, którzy się od nas różnią, dopóki nie staną się oni na tyle silni, by ją odciąć.

Ponieważ zawiść tak wybujała w dzisiejszym świecie, wyjątkowo dobrym zaleceniem jest niedawanie wiary dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom nikczemności, jakie słyszymy o innych. Pomyślmy, jak wiele

musiał stracić łotr po prawej stronie, by dojść do prawdy. Musiał nie dać wiary osądowi czterech zazdrosnych sędziów, drwinom zazdrosnych uczonych w Piśmie i starszych, bluźnierczym okrzykom gapiów, którzy uwielbiają egzekucje, i zazdrosnym docinkom łotra po lewej, który gotów był stracić swą duszę, byleby tylko mieć sprawne ręce do kilku jeszcze kradzieży. Lecz gdyby łotr po prawej pozazdrościł Panu jego władzy, nie zostałyby nigdy zbawiony. Odnalazł pokój dzięki temu, że nie dał wiary handlarzom skandali. My możemy odnaleźć swój pokój w tym samym niedowierzaniu. Prawdopodobne, że w każdej ciętej uwadze, w każdym jadowitym szepcie, jaki słyszymy o naszych bliźnich, jest odrobina zawiści czy zazdrości.

Dobrze pamiętać, że pod najdorodniejszą jabłonią jest zawsze najwięcej kijów. Dla osób niesłusznie atakowanych powinno być pociechą to, że jest fizyczną niemożliwością, aby zostały wyprzedzone przez tych, którzy zostają z tyłu, by im dokopać.

Drugie słowo może nas też nauczyć, że jedyny sposób, by pokonać zawiść, to okazanie litości, tak jak łotr po prawej. Jako chrześcijanie jesteśmy w wierze członkami Mistycznego Ciała Chrystusa, powinniśmy zatem kochać się tak, jak Chrystus nas ukochał. Jeśli boli nas ręka, całe ciało odczuwa ból. Podobnie jeśli Kościół w jakiejś części świata cierpi męczeństwo, powinniśmy czuć dla niego litość niczym dla części naszego ciała, a litość ta powinna mieć wyraz w modlitwie i dobrych czynach. Litość powinna rozszerzać się nie tylko na osoby poza Kościołem, które żyją tak, jakby ziemia nigdy nie dźwigała ciężaru krzyża, lecz także na wrogów Kościoła, którzy chcieliby zniszczyć nawet cień krzyża. Bóg jest ich sędzią, nie my. I jako potencjalni bracia w Chrystusie, dzieci Ojca Niebieskiego i dzieci Maryi, warci są naszej litości, ponieważ warci byli krwi Zbawiciela. Niestety, są tacy, którzy obwiniają Kościół za to, że przyjmuje do siebie grzeszników na łożu śmierci. Parę lat temu pewien człowiek z opinią oszusta i mordercy poniósł śmierć z rąk swych kolegów zbrodniarzy. Kilka minut przed śmiercią poprosił, by przyjąć go do Kościoła, został ochrzczony, przyjął Pierwszą Komunię, przyjął ostatnie namaszczenie. Pewni ludzie, którzy powinni mieć lepsze pojęcie o tych rzeczach, protestowali przeciw Kościołowi. Wyobraźmy sobie! Zazdrościć zbawienia duszy! Dlaczego nie

cieszyć się z Bożego miłosierdzia? W końcu czy ten przestępca nie trudnił się tą samą profesją co łotr po prawej stronie – i dlaczego nasz Pan nie miałby tak samo pragnąć zbawienia grzesznika w dwudziestym wieku, co w pierwszym? Obaj mieli dusze. Wydawać by się mogło, że grzeszna zazdrość o zbawienie łotra większym jest grzechem niż łotrostwo.

Jeden łotr został ocalony: więc niech nikt nie rozpacza. Jeden łotr został potępiony: więc niech nikt nie sądzi z góry. Miej litość nad nieszczęśliwym, a miłosierdzie Boże będzie nagrodą za twoją litość. Gdy faryzeusze oskarżali naszego Pana, że jada z celnikami i grzesznikami, odpowiedział im, podkreślając ważność miłosierdzia: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary. Bo nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników” (Mt 9,12–13).

Pewnego dnia jedna kobieta poszła do świętego ojca Jana Vianneya, proboszcza z Ars we Francji, i powiedziała: „Mój mąż od lat nie przystępował do sakramentów ani nie chodził na mszę świętą. Był niewierny, nikczemny, i niesprawiedliwy. Właśnie spadł z mostu i utonął – to była podwójna śmierć, ciała i duszy”. Proboszcz odparł: „Proszę pani, między mostem a wodą jest niewielka odległość, ale ona właśnie nie pozwala pani go osądzić”. Właśnie taka niewielka odległość pomiędzy krzyżami ocaliła żałującego łotra. Gdyby łotr po prawej stronie był zadufany w sobie, patrzyłby z góry na Jezusa i stracił swą duszę. Ale ponieważ był świadom swego grzechu, zostawił miejsce dla Bożego przebaczenia. A odpowiedź Zbawcy na jego prośbę udowadnia, że dla miłosiernych miłość jest ślepa – ponieważ jeśli kochamy Boga i swego bliźniego, którym może być nawet nasz wróg, Boża Miłość oślepnie, jak uczyniła to wobec łotra po prawej stronie. Chrystus nie będzie dłużej w stanie widzieć naszych win – i ta ślepotą będzie dla nas początkiem wizji Miłości.

„Powiedz, łotrze śmiały a błogosławiony,
który w jednej chwili
uchyliłeś rajskiej zasłony,
wszedłeś, choć wszyscy patrzyli,
wykradłeś niebo,
dzięki jakiej sztuczce
swój plan wykonałeś?

Jakie talizmany,
jaką broń miałeś?”
„Miłość i wiarę”.

„Powiedz, łotrze śmiały a błogosławiony,
jak się na tej głowie
dopatrzyłeś korony?
Jaki tam tekst był, jaka litera –
Krzyż, co królestwo otwiera?
Jakim tyś okiem szpiegowskim go badał,
Żeś Boga ujrzał w człeku, który w śmierć upadał?
Skąd światło?
Skąd błysk zrozumienia?”
„Na widok żalości –

Ujrzałem, jak Bogu oddawał cierpienia;
i w tymże widoku
dojrzałem światło,
tak żalości siła
osłodę zrodziła.
Niech się ta nauka nie zmarnuje,
miej litość dla Niego,
a On się nad tobą zlituje.
Przykład dawaj,
nie ustawaj,
Niebo można wykraść jeszcze raz”.

Anonim

III

SŁOWO TRZECIE: NIECZYSTOŚĆ

„Niewiasto, oto syn twój... [synu,] oto Matka twoja”.

(J 19,26–27)

Kazanie wygłoszone 12 marca 1939 roku

Trzecie słowo z krzyża było zadośćuczynieniem za grzech nieczystości. Nieczystość to nieuporządkowana miłość do przyjemności ciała. Ważnym słowem jest tu „nieuporządkowana”, sam Bóg Wszechmogący bowiem powiązał przyjemność z ciałem. Powiązał przyjemność z jedzeniem, abyśmy nie zaniedbywali odżywiania się i podtrzymywania życia; powiązał przyjemność z aktem małżeńskim, aby mąż i żona bez opieszałości wypełniali obowiązek społeczny, jakim jest rozprzestrzenianie rodzaju ludzkiego i wychowywanie dzieci dla królestwa Bożego. Przyjemność staje się grzeszna wówczas, gdy zamiast służyć temu, do czego jest przeznaczona, zaczyna być używana jako cel sam w sobie. Jedzenie, aby jeść, jest grzechem, ponieważ jedzenie służy celowi, jakim jest zdrowie. Podobnie nieczystość jest samolubstwem lub miłością perwersyjną. Wygląda nie tyle dobra drugiej osoby, ile własnej przyjemności. Uderza w kielich, w którym znajduje się wino; łamie lutnię, by złowić muzykę w sidła. Poddaje drugą osobę sobie dla przyjemności własnej. Nie uznając cechy „inności”, stara się skłonić drugą osobę, by dbała o nas, ale nie skłania nas do dbania o drugą osobę.

Żyjemy dzisiaj w czasach, które właściwie można by nazwać erą cielesności. Ponieważ maleje atrakcyjność duchowości, wzrastają wymogi ciała. Żyjąc mniej dla Boga, ludzka natura zaczyna żyć tylko dla samej siebie, ponieważ „Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego – miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardził” (Mt 6,24). Szczególna dla tej ery cielesności jest

tendencja do zrównywania trwałości małżeństwa z przyjemnością cielesną, dlatego gdy kończy się przyjemność, zakłada się, że automatycznie zerwie się i więź. Na przykład w Ameryce na cztery małżeństwa jedno kończy się rozwodem³ – co wskazuje na to, jak bardzo przestaliśmy być krajem chrześcijańskim i jak bardzo zapomnieliśmy o słowach Chrystusa: „Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela” (Mt 19,6). Godnym pożałowania aspektem tego wszystkiego jest fakt, że wzrostowi grzechu w tej materii towarzyszy zmniejszanie się poczucia popełniania grzechu. Dusze grzeszą bardziej, ale mniej o tym myślą. Podobnie jak chorzy, którzy są tak bliscy śmierci, że nie mają pragnienia, by wyzdrowieć, grzesznicy stają się tak zatwardziali, że nie tęsknią za odkupieniem. Straciwszy wzrok, już nie chcą widzieć; jedyna przyjemność, jaka im na koniec pozostaje, to drwienie z tych, którzy chcą. Czyści nigdy nie mówią, że czystość jest niemożliwa, tylko nieczyści. Osądzamy innych wedle siebie i przypisujemy innym wady, od których sami nie chcemy się uwolnić.

Za grzech nieczystości musiało dokonać się zadośćuczynienie, bo grzech ten stał się tak obrzydły Bogu w Starym Testamencie, że gdyby tylko dziesięcioro sprawiedliwych znalazło się w miastach Sodomie i Gomorze, Bóg powstrzymałby się od zniszczenia ich. Nasz Pan rozpoczął zadośćuczynienie za ów grzech od pierwszej chwili życia, gdyż wybrał sobie dziewicę na matkę. Dlaczego postanowił przekroczyć prawa natury? Odpowiedź jest bardzo prosta. Grzech pierworodny rozprzestrzenił się na całą ludzkość, z wyjątkiem naszej Pani, od Adama począwszy do chwili obecnej. Przeniesienie tej skazy na naturze ludzkiej odbywa się przez akt cielesny, którego mężczyzna jest aktywnym uczestnikiem, gdyż mężczyzna był głową rodzaju ludzkiego. Za każdym razem, gdy dokonuje się akt spółnienia nowego człowieka poprzez łączność kobiety i mężczyzny, grzech pierworodny jest mu przekazywany.

Problemem, z jakim zmierzyła się Druga Osoba Boskiej Trójcy, było: jak stać się człowiekiem, nie stając się zarazem grzesznym człowiekiem, to znaczy człowiekiem skażonym grzechem, który dziedziczy każde ciało? Jak stać się człowiekiem i nie odziedziczyć grzechu pierworodnego? Chrystus nie mógł być grzesznym człowiekiem, skoro miał wybawić ludzkość od grzechu. Jak miał być człowiekiem, ale bezgrzesznym? Mógł stać się człowiekiem,

będąc zrodzonym z kobiety; mógł stać się człowiekiem bezgrzesznym, bez grzechu pierworodnego, bez udziału mężczyzny jako aktywnego uczestnika aktu płodzenia, innymi słowy – będąc zrodzonym z dziewicy. Zatem tak się stało, że gdy anioł Gabriel pojawił się przed Maryją i powiedział jej, że ma począć i porodzić Mesjasza, który będzie miał na imię Jezus, ona odparła: „Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?” (Łk 1,34). Złożyła ślub dziewictwa i zamierzała go dotrzymać. Anioł odpowiedział, że poczęcie Syna Człowieczego dokona się bez udziału mężczyzny, poprzez moc Ducha Świętego, który ją osłoni. Zapewniona o tym, że zachowa dziewictwo, Maryja przyjmuje macierzyństwo Boga Wcielonego: „Niech mi się stanie według słowa twego” (Łk 1,38). Stało się więc tak, że zadośćuczynienie za grzechy ciała rozpoczęło się już od pierwszej chwili wcielenia dzięki narodzeniu Dziewicy. Tę samą miłość, którą Pan okazał na samym początku dziewictwu, przywołał w swym pierwszym kazaniu po rozpoczęciu publicznej działalności: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą” (Mt 5,8). Później, gdy uczeni w Piśmie i faryzeusze usiłowali zbrukać jego dobre imię, rzucił im wyzwanie, by znaleźli w Jego życiu jakąś nieczystość: „Który z was może oskarżyć Mnie o grzech?”.

Ostateczne wynagrodzenie i zadośćuczynienie dokonuje się na Kalwarii, gdzie nasz Pan ukoronowany jest cierniem, by uczynić zadość za wszystkie nieczyste pragnienia i myśli ludzkie; gdzie odarty jest z szat, by uczynić zadość za grzechy bezwstydu; gdzie jest nieomal pozbawiony ciała, by zadośćuczynić za pożądlivość ciała, gdyż według Pisma Świętego wszystkie Jego kości mogły być policzone. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do spoglądania na artystycznie wykonane krucyfiksy z kości słoniowej i piękne ilustracje w książeczkach do nabożeństwa, że myślimy o naszym błogosławionym Panu jako o całym ciele zawieszonym na krzyżu. On zaś zadośćuczynił za grzechy ciała w taki sposób, że Jego Ciało zostało rozdarte, krew rozlana, a Pismo Święte mówi o Nim jak o trędowatym, chłostanym przez Boga i doświadczonym cierpieniem: „Nie miał On wdzięku ani też blasku, / aby [chciano] na Niego popatrzeć, / ani wyglądu, by się nam podobał” (Iz 53,2).

Pan nasz postanowił pójść jeszcze dalej: czyniąc zadość za grzechy

nieczystości, pozbawił się dwóch prawowitych roszczeń ciała. Jeśli kiedykolwiek istniało w rzeczywistości cielesnej czyste i uprawnione roszczenie, jest nim roszczenie do miłości matczynej. Jeśli w rzeczywistości cielesnej istnieje szczerzy tytuł do czułości, są nim więzy miłości, które łączą nas z drugim człowiekiem. Ale z ciała zrobił człowiek tak niewłaściwy i perwersyjny użytek, że nasz Boski Zbawca zrzekł się nawet prawowitych więzów, by zadośćuczynić za te nieprawowite. Stał się całkowicie odcieleśniony, aby uczynić zadość za wykorzystywanie ciała do złych celów, oddał swą Matkę i swego najlepszego przyjaciela. Spogląda zatem na matkę swoją i wypowiada słowa pożegnania: „Niewiasto, oto syn twój”; i na swojego najlepszego przyjaciela spogląda i znów wypowiada słowa pożegnania: „Oto Matka twoja” (J 19,26–27).

Jakie to inne od tego, co jest w świecie. Matka potrafi pozbawić syna lepszego wykształcenia w obcym kraju, mówiąc: „Nie mogę wyrzec się syna”; albo żona potrafi pozbawić męża lepszego materialnego dorobku możliwego dzięki krótkiej rozłące, mówiąc: „Nie mogę wyrzec się męża”. Nie są to okrzyki szlachetnej miłości, lecz przywiązania. Nasz Pan nie powiedział: „Nie mogę wyrzec się Matki”. On się jej wyrzekł. Kochał ją wystarczająco mocno, by oddać ją temu, do czego była przeznaczona, czyli aby stała się naszą Matką. Była to miłość na tyle silna, aby zapomnieć o sobie, tak aby inni nigdy nie musieli odczuwać braku miłości. Poświęcił swą Matkę po to, abyśmy my ją mieli; zranił się jak pelikan, abyśmy my byli karmieni jej macierzyństwem. Maryja przyjęła tę lichą zamianę, by wypełnić zbawcze dzieło Syna. I w chwili gdy Jezus wyzbył się nawet tych prawowitych roszczeń ciała i dał nam swą Matkę, Maryję, i swego najlepszego przyjaciela, Jana – nastąpiła śmierć samolubstwa.

Trzecie słowo z krzyża udziela nam dwóch lekcji: 1) jedyna prawdziwa ucieczka od żądań ciała to znalezienie czegoś, co jest ponad ciało, i ukochanie tego; 2) Maryja jest ucieczką grzeszników.

Jeśli w ogóle odnajdziemy coś, co będziemy kochać bardziej niż ciało, to żądania ciała staną się mniej natarczywe. Jest to rodzaj „ucieczki”, jaką matka proponuje synowi, mówiąc mu: „Nie rób niczego, czego twoja matka mogłaby się wstydzić”. Jeśli miłość do matki stoi wyżej, syn zawsze będzie odczuwać rodzaj uświęconej czułości, coś, co pozwoli mu z chęcią zdobywać

się na poświęcenia. Gdy matka przedstawia taką prośbę synowi, powtarza po prostu naukę Zbawiciela, który, dając nam swoją matkę jako naszą, powiedział właśnie tak: „Moje dzieci, nigdy nie czyńcie niczego, co byłoby wstydem dla waszej Matki”. Oby nasze dusze kochały tę Matkę, a kochać będą także jej Boskiego Syna, Jezusa, który jako wynagrodzenie za nieprawę przyjemności ciała pozbawił się dla nas swych ostatnich prawowitych więzów – ze swą Matką.

Psychologia tego entuzjazmu dla wyższej miłości Jezusa i Maryi jako ucieczki od nieprawych przywiązań cielesnych jest taka: dzięki niej unikamy nadmiernej koncentracji na miłościach niższych i ich przejawach. Pomyśl przez pięć minut o swych ustach, a poczujesz nadmierne nagromadzenie się śliny. Pomyśl przez pięć minut o swym sercu, a zaczniesz sądzić, że masz z nim jakieś kłopoty, choć prawdopodobieństwo wynosi dziewięć do dziesięciu, że tak nie jest. Stań na scenie i zacznij myśleć o swoich rękach, a poczujesz, że są ciężkie jak połącz szynki. Bilans i równowaga całego systemu są zachwiane, gdy jakiś organ jest wyizolowany ze swej funkcji w organizmie albo odcięty od swego wyższego przeznaczenia. Ludzie, którzy ciągle mówią, czytają i myślą o seksie, są jak śpiewacy, którzy więcej myślą o krtani niż o śpiewie. Czynią to, co poddane jest wyższemu celowi, tak niezmiernie ważnym, że harmonia życia zostaje zachwiana.

Ale przypuśćmy, że zamiast skupiać się na organie, wpisalibyśmy go w bieg życia – i skończyłby się cały niepokój. Uzdolniony mówca nigdy nie ma kłopotu, co zrobić z rękami, gdyż jest tak zaangażowany w swoje przemówienie, że ręce poddają się wyższemu celowi. Nasz Pan powiedział praktycznie tę samą rzecz: „Nie troszczcie się o to, co macie jeść”. Tak samo jest z ciałem. Kultywujcie wyższą miłość, cel życia, cel istnienia, pragnienie, aby odpowiadać temu, czym pragnie nas mieć Bóg, a niższa namiętność zostanie przez to wchłonięta. Taką psychologię stosuje Kościół wobec ślubów czystości. Kościół prosi swych kapłanów i siostry zakonne, aby porzucili nawet prawowite przyjemności ciała – nie dlatego, że nie chce, by osoby te kochały, ale ponieważ chce, by kochały bardziej. Kościół wie, że ich miłość dla dusz będzie większa, ponieważ ich miłość do ciała będzie mniejsza, tak samo jak nasz Pan umarł na krzyżu za ludzi, ponieważ swoje życie ukochał mniej niż ich samych.

Nie można również sądzić, że ślub czystości jest ciężarem. Thompson nazwał go „beznamiętną namiętnością, dzikim spokojem”. I taki on jest. Ze ślubu czystości rodzi się nowa namiętna miłość, namiętna miłość do Boga. To pocieszenie płynące z wyższej miłości czyni porzucenie miłości niższej tak łatwym. Jedynie wówczas, gdy utraci się tę wyższą miłość, ślub czystości zaczyna być ciężarem, tak jak uczciwość staje się ciężarem tylko dla tych, którzy przestali uznawać prawa innych ludzi.

Przyczyna, dla której moralny ład ulega degeneracji, a przyzwoitość rozkładowi, jest taka, że mężczyźni i kobiety utracili wyższą miłość. Ignorują Chrystusa Zbawiciela, który ukochał ich aż do śmierci na Kalwarii, i Maryję, która ukochała ich tak, że stała się pod krzyżem Królową Męczenników, więc nie mają dla czego czynić poświęceń. Jedynym sposobem, w jaki można światu pokazać miłość, jest porzucenie jednej rzeczy dla drugiej. Miłość jest w istotny sposób związana z wyborem; wybór jest negacją, a negacja – poświęceniem. Gdy młody mężczyzna daruje swe serce dziewczynie i prosi ją, by go poślubiła, mówi nie tylko „Wybieram ciebie”, lecz także „Nie wybieram, odrzucam wszystkie inne. Rezygnuję z nich dla ciebie”. Zastosujmy to do kwestii nieczystości. Usuńmy wszelką miłość inną niż cielesna, usuńmy Boga i krzyż, Bolesną Matkę, zbawienie, szczęście wieczne – i jaka zostaje możliwość wyboru, co można zyskać, nie ulegając rozkazującym i rewolucyjnym żądaniom ciała? Lecz gdy uznamy Bóstwo, największą radością ciała będzie złożyć się na ołtarzu ukochanej osoby; ciało będzie nisko cenić swój smutek, bo w dawaniu odnajdzie rozkosz. Wówczas największym zmartwieniem jest bycie niepotrzebnym; ciało mogłoby nieomal znaleźć w sercu pragnienie, by zadać sobie ranę, którą mogłoby opatrzyć i wyleczyć. Taka jest natura osób czystych: zintegrowały one ciało z Bóstwem, a pożądania ciała zostały uwzniośnione dzięki krzyżowi; mając wyższą miłość, mogą teraz porzucić miłość niższą, tak aby ich Matka nigdy nie miała się za nich wstydzić.

Maryja jest ucieczką grzeszników. Ona, Dziewica Najczystsza, jest także Ucieczką Grzeszników. Ona wie, czym jest grzech, nie poprzez doświadczenie upadku, nie poprzez zaznanie gorczy żalu, lecz dzięki poznaniu, co grzech uczynił jej Boskiemu Synowi. Patrzyła na Jego rozdarte i krwawiące ciało, broczące purpurą jak zachodnia zorza, i poznała, jak wiele

zgrzeszyło ciało, widząc, co Jego ciało musiało wycierpieć. Jakież mógł być lepszy sposób, by przekonać się o ohydzie grzechu, niż zostać z Nim samej przez trzy godziny i zobaczyć, co grzech uczynił przeciw Niewinności i Czystości.

Jest ona Ucieczką Grzeszników nie tylko dlatego, że poznała, czym jest grzech na Kalwarii, lecz również dlatego, że podczas najbardziej przerażających godzin swego życia wybrała za towarzysza nawróconego grzesznika. Za miarę przyjaźni uznajemy obecność przy nas osób, które uważamy za przyjaciół, w momentach największej potrzeby. Maryja słyszała, jak Jezus mówi: „Celnicy i nierządnicę wchodzą przed wami do królestwa niebieskiego” (Mt 21,31). Więc wybrała nawróconą prostytutkę, Magdalena, za towarzyszkę u stóp krzyża. Co musieli mówić handlarze skandali owego dnia, gdy zobaczyli naszą Błogosławioną Matkę w towarzystwie kobiety, o której każdy wiedział, że była z tych, co sprzedają swe ciało, a nie oddają duszy. W tym dniu Magdalena wiedziała, że Maryja jest Ucieczką Grzeszników; i z pewnością dziś także można się przekonać, że jeśli wówczas jej towarzyszką była Magdalena, to i nas Maryja chętnie będzie miała teraz za towarzyszy.

Czystość Maryi nie jest czystością w rodzaju „Jestem bardziej święta niż ty”, taką zdystansowaną świętością zagarniającą fałdy szat, by przypadkiem nie zbrukali jej grzesznicy; nie jest też czystością pogardliwą, która spogląda z góry na nieczystych. Jest to raczej czystość promieniująca, której troska o grzeszników nie mąci bardziej niż brud na szybie zaciemnia słoneczny promień, który przez nią wpada.

Nie ma powodu, dla którego ci, co upadli, mieliby się zniechęcać. Przesłaniem Golgoty jest nadzieja. Poszukaj miłości wyższej nad miłość cielesną, miłości czystej, rozumiejącej, odkupieńczej, a walka stanie się łatwa. Ta wyższa miłość znajduje się na krzyżu i pod nim. Zdajemy się prawie zapominać, że krzyż w ogóle jest. Krzyż zaczyna przypominać różę, a miłość łodygę. Sięga ona z Kalwarii do naszych zranionych ziemskich serc, pije nasze modlitwy i prośby i przekazuje je Jemu. Dlatego właśnie w tym życiu różę mają kolce – by trzymać na dystans każde zakłócenie, które mogłoby zniszczyć naszą jedność z Jezusem i Maryją.

Gdyby tak Chrystus zszedł na ziemię w jakiś letni dzień

i nierozpoznany szedł którąś z ruchliwych dróg,
Ciekawi mnie, jak by to było, gdyby spotkał mnie
i czyby tak postąpił – jako Bóg.

Że by wybaczył mi albo zapomniał,
że nie modliłam się, tak, moja wina.
Ścisnąłby mi dłoń i „Dziecko” rzekłby do mnie,
„słyszałem, jak cię Matka ma wspomina”.

pani Fryderykova V. Murphy

IV

SŁOWO CZWARTE: PYCHA

„Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”

(Mt 27,46)

Przemówienie wygłoszone 19 marca 1939 roku

Czwarte słowo z krzyża było zadośćuczynieniem za grzech pychy. Pycha jest nieuporządkowaną miłością wobec swej własnej wspaniałości, czy to ciała, czy umysłu, lub bezprawną przyjemnością, jaką czerpiemy z myślenia, że nie ma lepszych od nas. Pycha jest rozdętym egoizmem i na niej zło ludzkie wznosi się do odrębnego ośrodka twórczości z dala od Boga; przesadnie podkreśla swą ważność, staje się światem samym w sobie i dla samego siebie. Wszystkie inne grzechy są złymi czynami, lecz pycha wsącza się nawet w dobre uczynki, by je zniszczyć i zabijać. Z tego powodu Pismo Święte mówi: „Duch wyniosły poprzedza upadek” (Prz 16,18).

Pycha przejawia się w rozmaitych formach: ateizmie, który jest zaprzeczeniem naszej zależności od Boga, naszego Stwórcy i ostatecznego kresu; próżności intelektualnej, która sprawia, że umysł nie chce przyjąć żadnej nauki, gdyż człowiek myśli, że wie wszystko, co wiedzieć można; powierzchowności, która każe osądzać innych po ubraniu, wymowie i rachunku bankowym; snobizmie, który drwi z osób niżej postawionych na znak własnej wyższości („ich status społeczny jest niższy od naszego”), hołdowaniu próżności, które sprawia, że rodzice katoliccy nie posyłają swych dzieci do katolickich uczelni, ponieważ stowarzyszałiby się tam jedynie z dziećmi stolarzy; zadufaniu w sobie, które każe człowiekowi szukać zaszczytów i stanowisk ponad jego możliwości; i przesadnej wrażliwości, która czyni człowieka niezdolnym do poprawy moralnej, gdyż tak niechętnie słucha on o własnych wadach.

To pycha spowodowała upadek Szatana z niebios i upadek człowieka

z łaski w grzech. Z powodu swej natury to nadmierne wyniesienie się mogło być uleczone jedynie poprzez uniżenie samego siebie. Dlatego właśnie Ten, który mógł się urodzić w pałacu nad Tybrem, odpowiednim miejscu dla Majestatu Syna Bożego, postanowił ukazać się ludziom jako dziecko w powijakach narodzone w stajni. W parze z niskością urodzenia szła niskość wykonywanego zawodu – cieśli – w mało znanym miasteczku Nazaret, którego sama nazwa stanowiła powód do przygany między znaczniejszymi. Tak jak dzisiaj są tacy, którzy drwią ze skromnego zatrudnienia, tak i wówczas byli tacy, co kpili sobie: „Czyż nie jest On synem cieśli?” (Mt 13,55). Uniżenie towarzyszyło też Jego czynom, ponieważ ani razu nie dokonał cudu w swym własnym imieniu, choćby nawet po to, by zapewnić sobie miejsce, gdzie mógłby głowę złożyć. Dał też przykład uniżenia się, gdy w Wielki Czwartek wieczorem On, który był Panem nieba i ziemi, opasał się prześcieradłem, klęknął i wodą z miski umył poryte zrogowaciałą skórą stopy swych dwunastu apostołów, mówiąc: „Sługa nie jest większy od swego pana ani wysłannik od tego, który go posłał” (J 13,16). „Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wy powinniście sobie nawzajem umywać nogi” (J 13,14). Wreszcie uniżenie stało się też przykazaniem: „Zaprawdę, powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 18,3).

Lecz największym uniżeniem się był rodzaj wybranej przez Niego śmierci, ponieważ „uniżył samego siebie, / stawszy się posłusznym aż do śmierci – / i to śmierci krzyżowej” (Flp 2,8).

Aby zadośćuczynić za fałszywą pychę przodków, odrzuca pociechę Bóstwa; by zadośćuczynić za pychę popularności, pozwala szydzić z siebie, gdy przekłety wisi na drzewie; za pychę snobizmu ma łotrów za towarzyszy; za pychę bogactwa odmawia Mu się nawet własnego łoża śmierci; za pychę ciała: „Nie było w nim wdzięku”; za pychę wynikającą z posiadania wpływowych przyjaciół zostaje zapomniany nawet przez tych, których uzdrowił; za pychę zrodzoną ze sprawowania władzy staje się słaby i porzucony; za pychę tych, którzy odrzucają Boga i wiarę, woła Jego jest poczuć się opuszczonym przez Boga. Za egotyzm, fałszywą niezależność i ateizm składa wynagrodzenie, wyrzekając się radości i pociech swej Boskiej Natury. Ponieważ pyszni ludzie zapomnieli o Bogu, pozwala sobie odczuć

bezbożność i łamie sobie serce, wydając najsmutniejszy okrzyk: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mt 27,46). Nawet w oddzieleniu od Boga była między nimi jedność, lecz te słowa opuszczenia zostały wypowiedziane po to, abyśmy my nigdy nie zostali bez pociechy.

Z tego słowa płyną dwa zalecenia: 1) nie hołduj sobie, gdyż Bóg opiera się pysznym; 2) hołduj pokorze, gdyż pokora jest prawdą i ścieżką do prawdziwej wielkości.

Dlaczego w ogóle mielibyśmy być pyszni? Jak przypomina nam św. Paweł: „Cóż masz, czego byś nie otrzymał? A jeśliś otrzymał, to czemu się chełpisz, tak jakbyś nie otrzymał?” (1 Kor 4,7). Jesteśmy dumni ze swego głosu, bogactwa, piękności, talentów? Lecz czymże one są, jeśli nie darami Bożymi, które On mógłby w jednej chwili odebrać? Z materialnego punktu widzenia jesteśmy warci tak niewiele. Ciało ludzkie zawiera taką ilość żelaza, jaka jest w gwoździu, tyle cukru, ile w dwóch kostkach, tyle tłuszczu, ile w siedmiu kostkach mydła, tyle fosforu, ile w dwóch tysiącach dwustu zapalkach, a magnezu tyle, ile potrzeba do wywołania jednego zdjęcia. Reasumując, skoro pod względem chemicznym ludzkie ciało warte jest nieco mniej niż dwa dolary – „Dlaczego dumnym miałyby być śmiertelnik?”⁴. Lecz pod względem duchowym jesteśmy warci więcej niż cały wszechświat: „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę?” (Mt 16,26).

Bóg opiera się pysznym. Faryzeusz, który wychwalał swe dobre czyny w przedsionku świątyni, jest potępiony; biedny celnik, który stojąc z tyłu, nazywa siebie grzesznikiem i uderza się w piersi, by błagać o wybaczenie, wraca do domu usprawiedliwiony. Nierządnicę i celnicę świadomi swoich grzechów wkraczają do królestwa niebieskiego przed uczonymi w Piśmie i faryzeuszami, którzy świadomi są własnej prawości. Ojciec Niebieski otrzymuje dziękczynienie za ukrycie swej mądrości przed przekonanymi o własnej mądrości i świadomymi intelektualistami, a ujawnienie jej ludziom prostym: „Wysławiam Cię, Ojczy, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroptymi, a objawiłeś je prostaczkom” (Łk 10,21). Jestem pewien, że każdy, kto miał doświadczenie z ludźmi pysznymi, zaświadczy o prawdziwości tego zdania: gdyby moje własne zbawienie

zależało od zbawienia duszy jednego człowieka przekonanego o własnej mądrości i dumnego ze swej uczoneści albo od zbawienia duszy stu najbardziej zepsutych moralnie mężczyzn i kobiet z ulicy, powinienem wybrać łatwiejsze zadanie nawrócenia tej setki. Nie ma na świecie nic trudniejszego do przewyciężenia niż pycha intelektualna. Gdyby bitwy miały być prowadzone przy jej użyciu zamiast oręża, nie mógłby się przebić żaden pocisk.

Łatwo to pojąć, jeśli bowiem człowiek sądzi, że wie wszystko, wówczas – tak sobie myśli – nie ma już niczego, czego mógłby się dowiedzieć, nawet od Boga. Jeśli duszę po brzegi wypełnia ego, nie ma miejsca dla Boga. Jeśli naczynie wypełnione jest wodą, nie może być jednocześnie napełniane olejem. Tak samo jest z duszą. Bóg może dać swą prawdę i życie tylko tym, którzy opróżnili samych siebie. Musimy stworzyć próżnię w naszych sercach, by uczynić miejsce dla łaski. Żyjemy w poczuciu, że robimy więcej, niż istotnie robimy. Weźmy na przykład prostą czynność picia napoju przez słomkę. Mamy błędne mniemanie, że wciągamy napój przez słomkę. A tak nie jest, gdyż ściśle mówiąc, nie ma takiej rzeczy jak ssanie. My jedynie wytwarzamy próżnię; atmosfera wywiera nacisk na ciecz ciężarem równym temu, z jakim ocean naciska na ziemię do głębokości trzydziestu czterech stóp⁵. To właśnie ciśnienie popycha ciecz w górę słomki, gdy wytworzymy próżnię. Tak samo jest w życiu duchowym. Dobro, którego dokonujemy, nie tyle dzieje się przez nasze własne czyny, ile poprzez duchowe ciśnienie Bożej łaski. Jedyne, co musimy zrobić, to wytworzyć próżnię, uznać się za nic – i natychmiast Bóg wypełni duszę swą mocą i prawdą. Paradoxem apostołstwa jest zatem to, że za im mniejszych się uważamy, tym więcej dobra czynimy. Dopiero gdy Piotr przepracował całą noc i nic nie złowił, nasz Pan napełnił jego łódź cudownym połowem ryb. Im wyższy budynek, tym głębszy fundament; im wspanialsza cnota, tym większa pokora. Z tego powodu jedynymi narzędziami Boga do czynienia dobra na tym świecie są ludzie pokorni; umniejszając się do zera, czynią oni miejsce nieskończoności, natomiast tym, którzy mają się za nieskończonych, Bóg zostawia ich maleńkie zero.

Nawet w świecie znajdujemy naturalną bazę dla pokory. Dopóki jesteśmy mali, wszystko inne wydaje się duże. Chłopiec dosiada kij od miotły, który

ma nie więcej niż metr dwadzieścia długości, a jednak dla niego jest to Pegaz przemierzający przestrzeń; słyszy, jak kopyta uderzają w chmury, a on przywiera do „grzywy, w której gwizd wszystkich wiatrów usłyszysz”. Świat jego zamieszkują olbrzymy, ponieważ jest tak nieduży; ołowiani żołnierze są dla niego prawdziwi i toczą prawdziwe bitwy, a czerwień dywanu to krew na polu bitwy. Gdy wyrasta na dużego mężczyznę, olbrzymi się kurczą, konie zmieniają się w kij od miotły, a żołnierze stają się kawałkami pomalowanego ołowiu o zaledwie trzech calach wysokości. Porządek duchowy wygląda tak samo; dopóki jest w nim Bóg, który jest mądrzejszy od nas, większy niż my i silniejszy, dopóty świat jest domem pełnym cudów. Prawda staje się czymś tak rozległym, że nawet wieczność nie może wysondować jej głębi. Miłość wówczas to coś tak nieprzemijającego, że nawet niebo nie może przyćmić jej uniesień. Dobroć okazuje się tak głęboka, że dziękczynienie jest cały czas na ustach człowieka. Lecz zapomnij tylko o Bogu, uczyni siebie bogiem, a twoja niewielka uczoneść stanie się tytułem do uznania twej wszechwiedzy. Wówczas święci będą dla ciebie „głupcami bez pojęcia”; męczennicy „fanatykami”; osoby religijne „tępakami”; spowiedź „wymysłem księży”; Eucharystia „śladem pogaństwa”; niebo „dziecięcą fantazją”; a prawda „ułudą”. Wspaniale musi być wiedzieć tak wiele, ale okropne musi być przekonanie się na końcu, że naprawdę wie się tak mało.

Drugim pouczeniem, jakie można zaczerpnąć z czwartego słowa z krzyża, jest to, że pokora jest prawdą. Pokora nie jest niedocenianiem swoich talentów, uzdolnień czy możliwości, i nie jest ich przecenianiem. Człowiek, który ma metr osiemdziesiąt wzrostu, nie jest pokorny ani jeśli powie, że ma metr sześćdziesiąt pięć, ani jeśli powie, że ma ponad dwa metry. Pokora jest prawdą lub rozpoznaniem, że dary są darami, a wady wadami. Pokora to poleganie na Bogu, tak jak pychą jest bycie od Niego niezależnym. To właśnie poczucie niezależności czy bycie bez Boga wydarło z Serca naszego Pana ten żalony okrzyk opuszczenia: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”. Dusza pokorna, świadoma swej zależności od Boga, jest zawsze duszą wdzięczną. Ilu śpiewaków, mówców, muzyków, aktorów, lekarzy, profesorów kiedykolwiek myśli o tym, by podziękować Bogu za szczególne talenty, dzięki którym są wybitni w swoich profesjach? Z dziesięciu trędowatych, którzy zostali oczyszczeni, tylko jeden powrócił,

by podziękować. „Czy nie dziesięciu zostało oczyszczonych? Gdzie jest dziewięciu?” (Łk 17,17) – prawdopodobnie słowa te odzwierciedlają proporcję niewdzięcznych, którzy nie dziękują, ponieważ nie są pokorni. Dusze pokorne zawsze będą unikać wychwalania swych dobrych uczynków, a tym samym nie odbiorą im cnót. Samochwalstwo pożera zasługę; a ci, którzy spełnili dobry czyn, aby ludzie ich widzieli, i którzy odtrąbiają swoją filantropię na placach miast, usłyszą pewnego dnia najsmutniejsze ze wszystkich słów wypowiedzianych czy napisanych: „Już odebraliście swoją nagrodę”. Człowiek pokorny, nawet jeśli w oczach świata jest wielki, będzie oceniał siebie niżej niż inni, ponieważ zawsze będzie podejrzewał, że czyjaś wewnętrzna wielkość może daleko przewyższyć jego nic nieznaczącą zewnętrzną wielkość. Nie będzie się zatem obnosił ze swą przypadkową wyższością przed bliźnimi, gdyż czynienie tego oznaczałoby pokazanie, że nie jest się prawdziwie wielkim. Naprawdę wielcy ludzie są pokorni; zawsze są przystępni, uprzejmi i wyrozumiali. To mali ludzie muszą zadzierać nosa. Naprawdę bogaty chłopak nie musi nosić dobrych ubrań, by zrobić swą zamożnością wrażenie na kolegach, ale biedny chłopak musi tak czynić, by stworzyć fałszywe wrażenie bogactwa. Tak też jest z tymi, którzy mają puste głowy: wiecznie muszą stwarzać wrażenie, ileż to wiedzą, ile książek przeczytali, jaki uniwersytet ukończyli. Uczony człowiek nie musi nigdy „wydawać się” uczonym, tak jak święty nigdy nie musi wydawać się pobożnym – ale hipokryta owszem. Fakt, że tak wielu ludzi z powagą przyjmuje zaszczyty, zmienia głos i przyjmuje pozy, udowadnia, że nie powinni oni nigdy dostąpić tych zaszczytów – były dla nich zbyt wielkie. Nie potrafili zasymilować zaszczytów, to raczej zaszczyty ich zasymilowały. Zamiast oni nosić purpurę, purpura ich nosi. Gąbka może wchłonąć pewną ilość wody i nie więcej; charakter może przyjąć pewną liczbę pochwał i nie więcej; punkt nasycenia zostaje osiągnięty, gdy zaszczyt przestaje być częścią człowieka i zaczyna bić w oczy. Prawdziwie wielcy ludzie są jak Filip Neri, który pewnego razu, widząc, jak odprowadzają przestępcę do więzienia, powiedział: „Tu oto, z pominięciem łaski Bożej, idzie Filip Neri”.

Przypuśćmy, że staliśmy się pokorni i oszacowaliśmy wartość innych przynajmniej tak samo, jak własną. Przypuśćmy, że tym, którzy razili nas oszczerczymi strzałami, mówiliśmy: „Ojczy, przebacz”. Przypuśćmy, że gdy

inni zaliczali nas do łotrów, braliśmy to za dobrą monetę i mówiliśmy: „Dziś jeszcze, w raju”. Przypuśćmy, że z osób, które nas zawstydzają przed krewnymi, tak jak Jezusa zawstydzano przed Jego matką, czyniliśmy przyjaciół dla matki naszej w niebie i mówiliśmy: „Oto syn Twój!”. Przypuśćmy, że unizaliśmy się przed ludźmi stojącymi niżej od nas w godnościach światowych i prosiliśmy ich o podanie napoju: „Pragnę!”. Przypuśćmy, że staliśmy się uczciwi i zaczęliśmy oceniać swoją wartość zgodnie z prawdą o niej. Jeśli byśmy czynili tak choćby przez godzinę, całkowicie i w sposób rewolucyjny zmienilibyśmy świat. Nie brakuje nam przykładu, ponieważ mamy przed oczami Tego, który poniżył siebie aż do śmierci na krzyżu, który odrzucił boską pociechę, gdyż Moc oblekła się w łachman słabości i Siła przepasała się opuszczeniem; i będąc Bogiem, zdawał się być bez Boga. Dlaczego to zrobił? Ponieważ ty i ja próbowaliśmy wieść nasze życie bez Boga – być niezależnymi. Wybierając poniżenie krzyża jako zadośćuczynienie za pychę, Chrystus ponownie przypomina nam opowieść o Dawidzie i Goliacie.

Goliat był wielkim olbrzymem, odzianym w stalową zbroję i dzierżącym w ręce potężny miecz. Dawid był pastuszkim, nie miał obronnej stali, a jego jedyną bronią była laska i parę kamieni z pobliskiego potoku. Goliat zadzwonił sobie z niego, mówiąc: „Czyż jestem psem, że przychodzisz do mnie z kijem?” (1 Sm 17,43). Dawid odparł z pokorą, nie pokładając ufności w swej własnej mocy: „Idę na ciebie w imię Pana...” (1 Sm 17,45). Wynik jest nam znany. Chłopiec z kamieniem zabił olbrzyma w zbroi i z mieczem.

Zwycięstwo Dawida symbolizowało rzeczywistość Wielkiego Piątku. Goliat to pycha. Nasz Pan to pokorny Dawid, który przychodzi zabić pychę za pomocą laski, czyli krzyża, i pięciu kamieni, czyli pięciu ran. Żadnym innym orężem poza tymi pięcioma ranami i laską krzyża nie odnosi się zwycięstwa nad Goliatem pychy na polu bitwy, jakim jest nasze serce. Dla osób światowych broń ta zdaje się zupełnie nieprzystosowana do bitwy, niemająca mocy zwyciężania; lecz inaczej jest, jeśli rozumiemy Boży plan od samego początku, a jest on taki: „Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć” (1 Kor 1,27). Za pomocą krzyża i korony z ciernia Bóg odniósł zwycięstwo.

O skroni w wieńcu cierniowym! O krwawe
usta! Kielichu, pełen nędzy człeka!
Nie kochaliśmy Ciebie, a za sprawę
naszą cierpiałeś od wieka do wieka!
Nie wiedzieliśmy, z rozumem w rozterce,
że przesywając twoje, swe morduję serce.
My, cośmy siewem razem i siewcami,
noc, co się jawi, blask, co znika blady,
grot, co przesywa bok, co się krwią plami,
życie zdradzony, usta pełne zdrady –
głębia i księżyc mają spokój błogi,
a my, panowie świata, myśmy sobie wrogie!
(...)

Nie, nie! Z nas każdy jest ukrzyżowany!
Ale choć krwawy pot nam z skroni ciecze,
zstąpimy z drzewa, zagoimy rany,
zbędziem się gwoździ, zdrowie znajdziem człecze.
Hysop nam zbędny w przeświadczeniu Błogiem,
że co ludzkie, to boskie, to szczerym jest Bogiem!

Oskar Wilde, *Humanitas*⁶

V

SŁOWO PIĄTE: ŁAKOMSTWO

„Pragnę”.

(J 19,28)

Przemówienie wygłoszone 26 marca 1939 roku

Piąte słowo z krzyża było zadośćuczynieniem za grzech łakomstwa. Łakomstwo to nieuporządkowane rozkoszowanie się jedzeniem lub piciem; może się przejawiać w spożywaniu ich w ilości większej, niż potrzeba, spożywaniu w niewłaściwym czasie lub w zbyt luksusowej postaci. Jest grzechem, ponieważ rozum domaga się, by jedzenie i picie były spożywane zgodnie z wymogami natury, a nie dla przyjemności samej w sobie. Ewangelia wspomina o bogaczu, który był winny tego grzechu. W historii opowiedzianej przez naszego Pana nie ma żadnej wzmianki o tym, by był to zły człowiek. Nie istnieje żaden zapis mówiący o tym, że płacił za mało swym sługom czy był winny jakiejś moralnej nikczemności. Nasz Pan mówi tylko, że „ubierał się w purpurę i bisior i dzień w dzień ucztował wystawnie” (Łk 16,19). Potem nasz Pan kontynuuje:

U bramy jego pałacu leżał żebrak pokryty wrzodami, imieniem Łazarz. Pragnął on nasycić się odpadkami ze stołu bogacza. A także psy przychodziły i lizały jego wrzody. Umarł żebrak i aniołowie zanieśli go na łono Abrahama. Umarł także bogacz i został pogrzebany. Gdy cierpiąc męki w Otchłani, podniósł oczy, ujrzał z daleka Abrahama i Łazarza na jego łonie. I zawołał: „Ojcze Abrahamie, ulituj się nade mną i przyślij Łazarza, aby koniec swego palca umoczył w wodzie i ochłodził mój język, bo strasznie cierpię w tym płomieniu”. Lecz Abraham odrzekł: „Wspomnij, synu, że za życia otrzymałeś swoje dobra, a Łazarz w podobny sposób – niedolę; teraz on tu doznaje pociechy, a ty męki cierpisz. A ponadto między nami a wami zionie ogromna przepaść, tak że nikt, choćby chciał, stąd do was przejść nie może ani stamtąd nie przedostają się do nas”. Tamten rzekł: „Proszę cię więc, ojcze, poślij go do domu mojego ojca! Mam bowiem pięciu braci: niech ich ostrzeże, żeby i oni nie przyszli na

to miejsce męki”. Lecz Abraham odparł: „Mają Mojżesza i Proroków, niechże ich słuchają!”. „Nie, ojciec Abrahamie – odrzekł tamten – lecz gdyby ktoś z umarłych poszedł do nich, to się nawrócą”. Odpowiedział mu: „Jeśli Mojżesza i Proroków nie słuchają, to choćby ktoś z umarłych powstał, nie uwierzą” (Łk 16,19–31).

Jeśli istnieje najlepszy wskaźnik obecnej degeneracji społeczeństwa, jest nim właśnie nadmierny luksus we współczesnym świecie. Gdy ludzie zapominają o swych duszach, zaczynają bardzo troszczyć się o swe ciała. Więcej jest dzisiaj klubów lekkoatletycznych niż domów rekolekcyjnych; a któż zliczy miliony wydane w salonach piękności, by hołdować urodzie, która pewnego dnia stanie się łupem robaka. Nie jest szczególnie trudno znaleźć tysiące osób, które poświęcą dwie lub trzy godziny dziennie na ćwiczenia, lecz gdy poprosi się je, by zgięły kolano przed Bogiem na pięć minut modlitwy, będą protestować, że to za długo. Dodajmy do tego szokujące kwoty wydawane rocznie na picie alkoholu, nie dla zwykłej przyjemności, lecz w nadmiarze. Skandal wyda się jeszcze większy, gdy rozważymy, że podstawowe potrzeby biednych można by zaspokoić dzięki sumom, które tracone są na owe odczłowieczające praktyki. Boży sąd nad bogaczem z pewnością dokona się nad wieloma z naszego pokolenia; ludzie ci przekonają się, że żebracy, którym odmówili odrobiny ze swych luksusów, zasiądą na uczcie u Króla Królów, natomiast oni, jak bogacz, będą żebrać o kroplę wody.

Musiało się dokonać zadośćuczynienie za łakomstwo, pijaństwo i nadmierny luksus. Zaczęło się ono z narodzinami naszego Pana, gdy Ten, który mógł ściągnąć niebiosa, by nakryć nimi dom swój, a z gwiazd uczynić żyrandole, wybrał odrzucenie przez ludzi i przyjście na świat w grocie pośród wzgórz najmniej znaczącego miasta w Izraelu. W pierwszym kazaniu, jakie wygłosił, obecne było błaganie o nieprzywiązywanie się: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie” (Mt 5,3). Swoją działalność publiczną rozpoczął od czterdziestodniowego postu i przestrzegał ludzi: „Nie martwcie się o swoje życie, o to, co macie jeść i pić, ani o swoje ciało, czym się macie przyodzierać” (Mt 6,25). Przemierzając okolicę jako wędrowny prorok, przyznawał, że jest tak samo bezdomny jak przy swym narodzeniu, a zwierzęta i ptaki mają lepsze mieszkania niż On: „Lisy mają nory i ptaki podniebienie – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma

miejsca, gdzie by głowę mógł położyć” (Łk 9,58). W tym, co jadał na obiad, nie było luksusów, a znamy jeden posiłek, który przyrządził osobiście: składał się z chleba i ryby.

Wreszcie na krzyżu został odarty z odzienia i pozbawiony śmiertelnego łoża, by przejść do swego własnego świata z tego świata, tak jak nań przyszedł: jego Pan, który jednak nic nie posiada. Jego były wody morskie i na jego słowa źródła wytrysnęły z ziemi; to On wyznaczył szlaki wodospadów i wrota mórz zatrzasnął. To On powiedział: „Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem tryskającym ku życiu wiecznemu” (J 4,13–14). „Jeśli kto jest spragniony, niech przyjdzie do Mnie i pije” (J 7,37). A teraz z ust jego pada najkrótszy z okrzyków, jakie wydał na krzyżu, wyrażający najbardziej dokuczliwe z cierpień ludzkich, zadość czyniąc za tych, którzy już zostali nasyceni: „Pragnę”.

Żołnierz natychmiast nałożył na hizop gąbkę pełną octu i przycisnął Mu do ust. Tak spełniło się proroctwo wypowiedziane przez Psalmistę tysiąc lat przedtem: „a gdy byłem spragniony, poili mnie octem” (Ps 69,22). Ten, który karmił ptaki powietrzne, zostaje bez jedzenia; ten, który zmienił wodę w wino, teraz pragnie; odwieczne źródła są suche; Bóg-człowiek zostaje dotknięty ubóstwem. Boski Łazarz stoi u drzwi świata i błaga o kruszynę chleba oraz kroplę wody, lecz hojność zatrzaskuje przed Nim drzwi.

Takie było zadośćuczynienie za luksusy picia i jedzenia. Gdy Mirabeau umierał, prosił o opium, mówiąc: „Obiecaliście oszczędzić mi niepotrzebnego cierpienia... Podeprzyjcie mi głowę, największą głowę Francji”. Gdy umiera Chrystus, odmawia wypicia środka odurzającego, by ulżyć swoim cierpieniom. Dobrowolnie chce odczuć najbardziej dojmującą z ludzkich potrzeb, aby zrównoważyć na wadze sprawiedliwości nadmierne użycie innych. Uczynił się nawet najmniejszym ze wszystkich, prosząc człowieka o napój – ale nie ziemską wodę. Nie tego pragnął; chciał napoju dla spragnionego serca – napoju miłości: „Pragnę miłości!”.

To słowo z krzyża ukazuje, że istnieje dwojako rozumiany głód i podwójne pragnienie: cielesne i duchowe. Pan nasz przy wielu okazjach czynił między nimi rozróżnienie: „Natomiast biada wam, bogaczom, bo

odebraliście już pociechę waszą. Biada wam, którzy teraz jesteście syści, albowiem głód cierpieć będziecie” (Łk 6,24–25). „Błogosławieni, którzy teraz głodujecie, albowiem będziecie nasyceni. Błogosławieni, którzy teraz płaczecie, albowiem śmiać się będziecie” (Łk 6,21–22). Następnie do tłumu, który za nim podążał przez jezioro w poszukiwaniu chleba, rzekł: „Zabiegajcie nie o ten pokarm, który niszczy, ale o ten, który trwa na życie wieczne, a który da wam Syn Człowieczy” (J 6,27). Samarytance, która przyszła czerpać wodę ze studni Jakubowej, przepowiedział: „Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem tryskającym ku życiu wiecznemu” (J 4,13–14). Lecz ponad wszystkie odniesienia do pokarmu i napoju człowieka wewnętrznego, w przeciwieństwie do człowieka zewnętrznego, obiecał najwyższy pokarm z samego siebie: „Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem” (J 6,55).

W świetle tego dwojako rozumianego głodu oraz pragnienia duszy i ciała jasne staje się rozróżnienie między dietą a postem. Kościół pości; świat stosuje dietę. Materialnie nie ma żadnej różnicy, gdyż można stracić dziesięć kilo w jeden czy drugi sposób. Lecz różnica kryje się w intencji. Chrześcijanin pości nie dla ciała, lecz dla duszy; poganin pości nie dla duszy, lecz dla ciała. Chrześcijanin nie pości dlatego, że ciało jest nikczemne, ale by uczynić je bardziej uległym wobec duszy, niczym narzędzie w rękach wykwalifikowanego robotnika. To sprowadza nas do podstawowego problemu życia. Czy dusza jest narzędziem w rękach ciała, czy ciało jest narzędziem w rękach duszy? Czy dusza powinna czynić to, czego chce ciało, czy ciało powinno czynić to, czego chce dusza? Każde z nich ma swoje pragnienia i każde jest bezwzględne w chęci nasycenia swych potrzeb. Gdy zadowolamy jedno, nie zadowolamy drugiego – i *vice versa*. Jedno i drugie nie mogą razem zasiadać do uczyty życia.

Rozwój charakteru zależy od tego, na który głód i pragnienie odpowiadamy. Być na diecie czy pościć – oto jest problem. Stracić podwójny podbródek, by być pięknym w oczach istot ludzkich, czy stracić go, by utrzymać ciało w ryzach i posłuszeństwie wobec potrzeb duszy – oto jest pytanie. Wartość człowieka można oszacować poprzez wartość jego

pragnień. Powiedz mi o swoim głodzie i pragnieniu, a powiem ci, kim jesteś. Czy bardziej łakniesz pieniędzy niż miłosierdzia, bogactw niż cnoty, władzy niż służby? Jesteś zatem samolubny, rozpieszczony i pyszny. Czy troszczysz się o Wino Życia Wiecznego bardziej niż o przyjemności, o biednych bardziej niż o względy bogatych, o dusze więcej niż o pierwsze miejsca przy stole? Zatem jesteś pokornym chrześcijaninem.

Wielka szkoda, że tak wielu ludzi troszczy się tak bardzo o ciało, aż zaniedbuje duszę, a zaniedbując duszę, traci apetyt na sprawy duchowe. Tak jak w porządku naturalnym możliwa jest utrata apetytu na pokarm, tak i w porządku duchowym możliwa jest utrata pragnienia rzeczywistości nadprzyrodzonej. Ludzie łakomi rzeczy przemijających stają się nieczuli na rzeczy nieprzemijające. Jak uszy głuchego zamknięte są na świat harmonii i oczy niewidomego zamknięte są na świat piękna, tak wypaczone dusze zamykają się na świat Bóstwa. W swej autobiografii Darwin pisze, że miłość do biologii spowodowała u niego utratę niegdysiejszego upodobania do poezji i muzyki, czego mocno żałował do końca życia. Nic tak bardzo nie przytłumia otwartości na świat duchowy, jak zbytne oddanie światowi materii. Nadmierna miłość do pieniądza niszczy poczucie wartości; nadmierna miłość do ciała zabija wartości duchowe. Nastaje wreszcie moment, gdy wszystko zdaje się podnosić bunt przeciw wyższemu prawu naszej egzystencji. Jak ujął to poeta: „Wszystko zdradza ciebie, który Mnie zdradziłeś”. Natura jest tak lojalna wobec swego Stwórcy, że zawsze w końcu staje się nielojalna wobec tych, którzy przeciw niej występują. „Zdradziecka wierność i lojalne oszustwo” jest tego najlepszym opisem, gdyż w wierności Jemu będzie zawsze niestała wobec nas.

Piąte słowo z krzyża to błaganie Boga skierowane do ludzkiego serca, by nasycić się przy jedynym sycącym źródle. Bóg nie może zmusić człowieka do pragnienia rzeczy świętych zamiast rzeczy niskich lub spraw boskich zamiast świeckich; dlatego właśnie Jego błaganie jest po prostu stwierdzeniem. „Pragnę” oznacza „Pragnę, by Mnie pragnęli”. I Jego pragnienie jest naszym zbawieniem.

W tym krótkim kazaniu z krzyża ukryte jest dwojakie zalecenie: po pierwsze, umartwiać głód i pragnienie ciała; po drugie, pielęgnować głód i pragnienie ducha.

Mamy umartwiać głód i pragnienie ciała nie dlatego, że ciało jest nikczemne, lecz ponieważ dusza musi zawsze sprawować nad nim władzę, aby nie stało się tyranem. Oprócz unikania wszelkich zbytków Krzyż zaleca nam wręcz zminimalizowanie wydatków na luksusy – na rzecz biednych. Ilu z nas kiedykolwiek myśli o tym, by zrezygnować z wystawnego obiadu, wieczoru w teatrze lub debiutanckiego występu, ze szczerego współczucia dla ubogich Chrystusa? Bogacz tego nie uczynił i z powodu swego zapominalstwa utracił duszę. Jak wielu z nas, mniej zasobnych, zrezygnuje z choćby jednego wyjścia do kina w miesiącu, by kwotę na nie przeznaczoną wrzucić do skarbonki dla biednych, aby Ten, który widzi w ukryciu, wynagrodził nas w ukryciu? Gdy chodzi o powstrzymanie apetytów cielesnych, Boże zalecenia są nieomyślne. Pewnego razu, gdy nasz Pan został zaproszony do domu przywódcy faryzeuszy, sam zwrócił się do gospodarza: „Gdy wydajesz obiad albo wieczerzę, nie zapraszaj swoich przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani zamożnych sąsiadów, aby cię i oni nawzajem nie zaprosili, i miałyś odpłatę. Lecz kiedy urządzasz przyjęcie, zaproś ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych. A będziesz szczęśliwy, ponieważ nie mają czym tobie się odwdzięczyć; odpłatę bowiem otrzymasz przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych” (Łk 14,12–14).

Pieniądze, które wydajemy w nadmiarze na nasycenie głodu i pragnienia cielesnego, nie przysłużą się nam w ogóle w dniu ostatecznym, ale biedni, którym pomogliśmy dzięki naszemu ograniczeniu się i umartwieniu, powstaną jak wielka liczba adwokatów przed barierką naprzeciw Boskiego Sędziego i będą błagać o miłosierdzie dla naszych dusz, mimo że niegdyś były one ciężko obciążone grzechem. Niebieski Sędzia nie da się przekupić pieniędzmi, lecz biedni mogą wyrzucić na Niego wpływ. W tym dniu ostatecznym, jedynym, który się naprawdę liczy, wypełnią się piękne prorockie słowa Matki Pana naszego: „Głodnych syci dobrami, a bogatych odprawia z niczym” (Łk 1,53). Gdy dla dobra duszy odmawia się sobie zbytecznego jedła i napoju, należy to czynić w duchu radości: „Kiedy pościcie, nie bądźcie posępni jak obłudnicy. Przybierają oni wygląd ponury, aby pokazać ludziom, że poszczą. Zaprawdę, powiadam wam, już odebrali swoją nagrodę. Ty zaś, gdy pościsz, namaść sobie głowę i umyj twarz, aby nie ludziom pokazać, że pościsz, ale Ojcu twemu, który jest w ukryciu.

A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie” (Mt 6,16–18).

Mamy także pielęgnować głód i pragnienie duchowe. Umartwienie apetytów cielesnych jest tylko środkiem, nie celem. Celem jest zjednoczenie z Bogiem, pragnieniem duszy. „Skosztujcie i zobaczcie, jak dobry jest Pan” (Ps 34,9). Wielką tragedią życiową jest nie tyle to, co ludzie cierpią, ile to, co tracą. Zaspokojenie ziemskiego pragnienia bogactwa zależy od zaledwie kilku pociągnięć piórem, lecz nie ma nikogo z żyjących, kto chciałby, a nie mógł się cieszyć pokarmem i napojem duchowym, którego Bóg udziela każdemu, kto o nie prosi. A jednak jak niewielu jest tych, którzy w ogóle myślą o karmieniu swych dusz. Jak niewielu musiało ich być w Jerozolimie, skoro z ust Pana wyrwała się słodka skarga: „Ile razy chciałem zgromadzić twoje dzieci, jak ptak swoje pisklęta gromadzi pod skrzydła, a nie chcieliście” (Mt 23,37). Równie dobrze i do nas, słuchających okrzyku „Pragnę”, mógłby nasz Zbawiciel wypowiedzieć słowa, które skierował do kobiety przy studni: „O, gdybyś знаła dar Boży i [wiedziała], kim jest Ten, kto ci mówi: »Daj Mi się napić«, to prosiłabyś Go, a dałby ci wody żywej” (J 4,10).

Lecz jak wielu prosi? Rozważmy największe dary Boga dla ludzi: Chleb Życia i Wino, które rodzi dziewice. Jak niewielu korzysta z Bożej Obecności, aby każdego ranka przerwać post składający się z niebiańskiego pokarmu duchowego! Jak wielu ma dostateczną świadomość, że nasz Pan obecny jest w tabernakulum, aby złożyć Mu codzienną wizytę w Jego miłosnym więzieniu? A jeśli tego nie czynimy, o czym to świadczy, jeśli nie o zamieraniu naszego zmysłu duchowego? Nasze ciało bardziej odczułoby brak deseru niż nasza dusza brak Komunii Świętej.

Nic dziwnego, że nasz Odkupiciel tęsknił do nas na krzyżu – pragnął naszych nieczułych serc i otępiałych dusz. Więc nie sądźmy, że Jego pragnienie jest dowodem Jego potrzeby – jest ono dowodem potrzeby naszej. On nie potrzebuje nas do tego, by być doskonałym, tak jak my nie potrzebujemy kwiatu kwitnącego za oknem, aby być doskonałymi. Podczas suszy pragniemy dla kwiatu deszczu – nie dlatego, że my go potrzebujemy, ale ponieważ kwiat go potrzebuje. Podobnie Bóg nas pragnie – nie dlatego, że On nas potrzebuje do szczęścia, ale ponieważ my Jego do szczęścia potrzebujemy.

Bez Niego nie jest możliwy nasz rozwój. Tak jak w organizmie rozwijają się pewne choroby, na przykład szkorbut czy anemia, ponieważ brakuje potrzebnych witamin, tak nasze charaktery nas zawiodą z powodu braku Ducha. Ogromna większość mężczyzn i kobiet w dzisiejszym świecie jest tak niedorozwinięta duchowo, że gdyby podobny brak ujawnił się w ich ciałach, fizycznie byliby potworni. W jak wielu umysłach w dzisiejszych czasach nie zamieszkuje choć jedna myśl, która by je nasyciła, podtrzymała w smutkach i stanowiła pociechę przy śmierci? U iluż milionów ludzi wola nie znalazła życiowego celu, i z tego powodu przelatują oni jak motyle od jednej barwnej emocji do drugiej, niezdolni zaznać spoczynku?

Niech zaczną pielęgnować w sobie inny głód niż tylko głód chleba i igrzysk; niech wysondują głębię swego jestestwa i odkryją tam jałowe pustynie, krzyczące o wodę z niewyczerpanych źródeł. Oczywiście, te wycieńczone z głodu dusze nie ponoszą za to całej winy. Słyszały kaznodziejów bez końca nawołujących: „Idźcie do Chrystusa!”. Ale cóż to oznacza? Cofnąć się o dwa tysiące lat? Jeśli tak, czy nie mają prawa wątpić w Jego Bóstwo, skoro nie potrafił przenieść się w czasie? Spoglądać w niebo? Skoro tak, to co się stało z jego błogosławieństwami, przebaczeniem grzesznikom, Prawdą, która, jak powiedział, przetrwa do końca czasów? Gdzie jest jego władza? Jego moc? Jego obecne Życie? Jeśli nie w jakimś miejscu na ziemi, dlaczego wobec tego przyszedł na ziemię? Aby przekazać tylko echo swych słów, zapis czynów, a potem wymknąć się, pozostawiając nam jedynie historię i jej nauczycieli?

Gdzieś na ziemi jest dzisiaj Jego Prawda: „Ten, kto was słucha, mnie słucha”. Gdzieś na ziemi jest Jego moc: „Oto udzielam wam władzy...”. Gdzieś na ziemi jest Jego Życie: „Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata” (J 6,51). Gdzie je znaleźć? Na powierzchni ziemi istnieje instytucja, w której one są; a ci, którzy zapukali do jej bram i poprosili o napój, otrzymali eliksir Bożego Życia, z nim zaś pokój, który spływa na ludzi, co piją i już więcej nie pragną, co jedzą i już więcej nie są głodni.

Każdego z nas z osobna, w Kościele i poza nim, nasz Pan pyta: „Czy przyjmiesz kielich mojej Miłości?”. On wypił nasz kielich nienawiści i goryczy w Getsemani, a tak wielka była gorycz jego mętów, że zawołał: „Ojczy, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich!” (Łk 22,42). Lecz wypił

go do ostatniej kropli. Jeśli On wypił nasz kielich nienawiści, dlaczego my nie pijemy Jego kielicha przebaczenia? Dlaczego, gdy woła „Pragnę”, podajemy Mu ocet i żółć?

Nie zdołam oddać tego ani w części, lecz słuchajcie szumu tej fali uczuć, co ciągle powraca, zrodzonej z wyniosłej tortury Jego krzyża, złotego uniesienia Jego serca w moim.

Poznałem, jak to jest w najrozkoszniejszej z mąk być częścią Chrystusa i poczuć jak swoje ciemne udręki moich braci nóg i rąk, czuć w swoim ciele i czuć najprawdziwiej, poczuć jak swój głód głód Jego biedaków, poczuć jak swój cień cień klątwy nad nimi, twarde słowa, twarde spojrzenia i dzikość cierpienia, trzepot umierania, bez żalu, bez łez. Poczuć smutny przesyt braci bogaczy, znużone ich życie i znużone śmierci, potrzebę miłości, miłości brak, wszystkiego brak. Poczuć, jak ciężki smutek świata gęstnieje coraz bardziej i piekło zwiastuje, wsiąka w miast potężnych kilometry ulic, schodzone przez głodnych szukających pracy, co w noc zimową marzną na rzecznych nadbrzeżach, aż wreszcie wita ich sznur, nurt wartki czy stal. Groza niedoli, którą nasi bracia znoszą, niczym była wobec tego, co nadeszło, a był to los okrutny przez nas zgotowany naszym braciom i siostrom! W sercu moim zdało się, że serce Chrystusa uderza i grzechy całego świata – karmazyn złości, szarość zaniedbania – uniosły się, szerniały, zakryły twarz Boga.

Arthur Shearly Cripps⁷, *Śmierć Świętego Franciszka*

VI

SŁOWO SZÓSTE: LENISTWO

„Dokonało się!”

(J 19,30)

Przemówienie wygłoszone 2 kwietnia 1939 roku

Szóste słowo z krzyża było zadośćuczynieniem za grzech lenistwa. Lenistwo to choroba woli, która sprawia, że zaniedbujemy nasze obowiązki. Lenistwo może być fizyczne lub duchowe. Jest fizyczne wówczas, gdy przejawia się w rozleniwieniu, kunktatorstwie, bierności, miękkości, nieczułości i nonszalancji. Jest duchowe wówczas, gdy przejawia się w niewrażliwości na potrzebę poprawy charakteru, niechęci do spraw duchowych, pospiesznym odprawianiu praktyk pobożnych, letniości i niepowodzeniu w pielęgnowaniu cnót. Klasyczny opis skutków lenistwa można znaleźć w Księdze Przysłów:

Szedłem koło pola próżniaka
i koło winnicy nierozumnego:
a oto wszystko zarosło pokrzywą,
ciernie całą powierzchnię pokryły,
kamienny mur jest rozwalony.
Zwróciłem uwagę, spojrzałem,
zobaczyłem i wyciągnąłem naukę:
[jeszcze] trochę snu i trochę drzemki,
trochę założenia rąk, aby spocząć,
a przyjdzie na ciebie nędza jak ktoś bezczelny
i niedostatek jak rozbójnik (Prz 24,30–34).

O takiej obojętności wobec obowiązku Pan mówił w Księdze Apokalipsy:
„A tak, skoro jesteś letni / i ani gorący, ani zimny, / chcę cię wyrzucić z mych ust” (Ap 3,16).

W życiu i nauce naszego Pana nie znajdzie się poparcia dla człowieka

leniwego. Gdy miał już dwanaście lat, Chrystus mówił o zajmowaniu się sprawami „należącymi do Ojca”, czyli o niczym innym jak o zbawieniu świata. Następnie przez osiemnaście lat pracował jako rzemieślnik, przerabiał zepsute i bezużyteczne rzeczy w dziecięcą kołyskę, stół dla przyjaciela, nazaretańskie dachy i rolnicze wozy, które symbolizują późniejszą pracę, polegającą na przemianie zatwardziałyh właścicieli kantorów i prostytutki w pożytecznych obywateli królestwa niebieskiego. Gdy zaczynał życie publiczne z rękoma zgrubiałymi od pracy, głosił ewangelię pracy: „Trzeba nam pełnić dzieła Tego, który Mnie posłał, dopóki jest dzień. Nadchodzi noc, kiedy nikt nie będzie mógł działać” (J 9,4).

Całe swoje życie, zgodnie z tym, co mówił, spędził na dawaniu, nie na braniu: „Bo i Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służył, lecz żeby służyć i dać swoje życie jako okup za wielu” (Mk 10,45). Nabył prawo do tego, by nauczać o konieczności pracy, a na wypadek, gdybyśmy mieli złudzenia, że jakakolwiek inna praca ważniejsza jest od zbawiania dusz, nawet pogrzeb naszych rodziców, powiedział do swego ucznia, który poprosił o pozwolenie na to: „Pójdź za Mną, a zostaw umarłym grzebanie ich umarłych!” (Mt 8,22). Młodzieńcowi, który chciał być Jego uczniem, lecz chciał najpierw pożegnać się z bliskimi w domu, Pan nasz powiedział: „Ktokolwiek przykłada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego” (Łk 9,62). Praca wyłącznie dla chleba nie jest żadnym wypełnieniem jego przykazania, gdyż tych, którzy pragnęli więcej chleba, prosił: „Zabiegajcie nie o ten pokarm, który niszczy, ale o ten, który trwa na życie wieczne, a który da wam Syn Człowieczy” (J 6,27).

Czynność zbawiania, praca nad zbawieniem nie jest łatwym zadaniem. Przez ten świat prowadzą dwie drogi ku życiu przyszłemu: „Wchodźcie przez ciasną bramę! Bo szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby, a wielu jest takich, którzy przez nią wchodzą. Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy ją znajdują!” (Mt 7,13–14). Co ciekawe, kieruje On swe zaproszenie tylko do tych, którzy pracują nad zdobyciem wiecznej nagrody: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie na siebie moje jarzmo i ucźcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokornego

serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem słodkie jest jarzmo moje, a moje brzemie lekkie” (Mt 11,28–29).

Tak całkowicie i w najmniejszych szczegółach wypełnił sprawy swego Ojca, że w noc swej agonii, w ogrodzie, w obecności apostołów, podniósł oczy ku niebu i modlił się: „Ja Ciebie otoczyłem chwałą na ziemi przez to, że wypełniłem dzieło, które Mi dałeś do wykonania” (J 17,4). Następnie kolejnego dnia po południu, gdy jako cieśla ponosi śmierć od własnej profesji, Jego donośny głos z krzyża jest zadośćuczynieniem i pieśnią triumfalną: „Dokonało się!”.

Nie powiedział „Umieram”, ponieważ śmierć nie przyszła, by Go zabrać. On wyszedł Jej naprzeciw, by ją pokonać. Ostatnia kropla z kielicha odkupienia została wysączona; ostatni gwóźdź w Domu Ojca przybity; ostatnie pociągnięcie pędzla wykonane na płótnie zbawienia! Jego dzieło zostało skończone!

Ale nie nasze. Ważne, aby sobie to uświadomić, bo są tacy leniwi, którzy usprawiedliwiają się, mówiąc, że aby zbawić swe dusze, potrzebują jedynie wiary w Chrystusa. Z pewnością Ten, który tak ciężko pracował dla zbawienia świata, nie przyszedł, by zwolnić swych wyznawców z pracy. Sługa nie jest wyższy od swego pana. Sama wiara w Niego nie zbawia, gdyż „wiara bez dobrych uczynków jest martwa”. Uczniowi nie wystarczy mieć wiarę w wiedzę nauczyciela; musi się także uczyć. Nie wystarczy choremu mieć wiarę w lekarza, organizm musi współpracować z nim i jego leczeniem. Nie wystarczy wierzyć, że Jerzy Waszyngton był „ojcem narodu”; musimy przyjmować i wypełniać obowiązki obywateli amerykańskich. Podobnie nie wystarczy wierzyć w Chrystusa: musimy żyć Chrystusem i do pewnego stopnia umrzeć jak On. Jego słowa nie zostawiają miejsca na dwuznaczność: „Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien. Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (Mt 10,38–39).

Święty Paweł rozumiał pracę związaną z byciem chrześcijaninem i tę samą wiadomość przesłał Rzymianom: „którzy otrzymaliśmy chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem (...) tak samo będziemy [z Nim złączeni w jedno] przez podobne zmartwychwstanie” (Rz 6,3.5). To, co On uczynił ze swą ludzką naturą,

musimy uczynić i my – zasadzić ją w glebie krzyża i oczekiwać na zmartwychwstanie w Wiekuistą Wielkanoc. Później, w liście do Koryntian, św. Paweł powtórzył: „Jak bowiem obfitują w nas cierpienia Chrystusa, tak też wielkiej doznajemy przez Chrystusa pociechy” (2 Kor 1,5). A św. Piotr, który tak dobrze znał skandal krzyża, wołał o radość w przeżywaniu krzyża: „Cieszcie się, im bardziej jesteście uczestnikami cierpień Chrystusowych, abyście się cieszyli i radowali przy objawieniu się Jego chwały” (1 P 4,13).

W tych nakazach nie ma nadziei dla leniwych duchem. Nasz Pan jest matrycą, która musi się na nas odcisnąć. Jest wzorem, według którego musimy się kształtować. Krzyż jest warunkiem: musimy być do niego przybici. Nasz Pan ukochał krzyż tak bardzo, że nawet w swej chwale zachowuje blizny po nim. Ten, który odniósł zwycięstwo nad śmiercią, zachował zapis jej ran. Jeśli dla Niego są tak cenne, to i dla nas nie mogą być bez znaczenia. W ich trwaniu tkwi przypomnienie, że my także musimy być tymi znakami podpisani i opieczętowni tymi pieczęciami. W dniu sądu powie każdemu z nas: „Pokaż mi ręce i stopy. Gdzie są twoje blizny zwycięstwa? Czy nie walczyłeś w bitwach za prawdę? Czy nie wygrałeś wojen o dobro? Czy nie uczyniłeś ze zła swego wroga?”. Jeżeli będziemy mogli udowodnić, że byliśmy Jego wojownikami i pokażemy blizny na naszych apostoelskich rękach, wówczas będziemy cieszyć się pokojem zwycięstwa. Lecz biada tym z nas, którzy schodzą z Kalwarii tej ziemskiej pielgrzymki z dłońmi białymi i bez blizn!

Z szóstego słowa na krzyżu płyną pouczenia świadczące o Jego ukończonym dziele i naszych niedokończonych zadaniach. Po pierwsze, musimy wystrzegać się duchowego lenistwa, gdyż kary za nie są olbrzymie. Po drugie, musimy pracować, by nasze życie zostało wypełnione.

W Ewangelii zapisane zostały trzy przykłady lenistwa. Były sobie głupie panny, czyste, lecz leniwe. Mądre panny napełniają lampy oliwą i czekają na kroki nadchodzącego Oblubieńca. Głupie panny nie myślą o oliwie, są zmęczone czekaniem i zasypiają. Gdy nadchodzi Oblubieniec, mądre panny zapalają swe lampy i witają Oblubieńca. Głupie panny idą, by zakupić oliwy, lecz sklepy są zamknięte, wszyscy śpią. Wracają na ucztę, lecz drzwi są zamknięte. Wołają: „Panie, Panie, otwórz nam!” (Mt 25,11). Lecz odpowiedź Jego brzmi: „Zaprawdę, powiadam wam, nie znam was” (Mt 25,12). I Pan

kończy przypowieść tymi słowami: „Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny” (Mt 25,13).

Drugim przykładem lenistwa była przypowieść o bezpłodnym drzewie figowym: „Wracając rano do miasta, poczuł głód. A widząc figowiec przy drodze, podszedł ku niemu, lecz nic na nim nie znalazł oprócz liści. I rzekł do niego: »Niechże już nigdy nie rodzi się z ciebie owoc!«” (Mt 21,18–19).

Trzecim była przypowieść o zakopanym talencie. Ten, który otrzymał pięć talentów, dostał kolejne pięć; ten, który otrzymał dwa talenty, dostał następne dwa; lecz ten, który otrzymał jeden talent, ukrył go w ziemi. O nim Pan tych sług powiedział:

Sługo zły i gnuśny! (...) Dlatego odbierzcie mu ten talent, a dajcie temu, który ma dziesięć talentów. Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma. A sługę nieużytecznego wyrzucicie na zewnątrz – w ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów (Mt 25,26.28–30).

Wspólną cechą tych trzech przypowieści jest niebezpieczeństwo lenistwa i konieczność pracy. Czystość bez dobrych uczynków nie zbawia, tak jak nie zbawiła głupich panien. Ci, którzy nic nie robią, ryzykują utratę tych niewielu rzeczy, które mają. Innymi słowy, można stracić swą duszę, jeśli się nic nie robi. „Jak uciekniemy, jeśli zaniedbujemy?...” Zatracamy swe dusze, nie tylko czyniąc zło, lecz także nie czyniąc dobra. Gdy zaniedba się ciało, mięśnie sztywnieją; gdy zaniedba się umysł, przychodzi głupota; gdy zaniedba się duszę, nastaje ruina. Tak jak życie fizyczne jest sumą sił opierających się śmierci, tak życie duchowe do pewnego stopnia jest sumą sił opierających się złu. Gdy zaniedbamy zażywanie antidotum na truciznę obecną w ciele, umrzemy z powodu tego zaniedbania. Jeśli przestaniemy zapobiegać grzechowi, umrzemy śmiercią wynikającą po prostu z zaniedbania.

Niebo jest miastem położonym na górze, więc nie możemy przybić doń jak do brzegu, musimy się wspinać. Ci, którzy są zbyt leniwi, by się wspinać, mogą go nie zdobyć, podobnie jak źli, którzy nie chcą go szukać. Niech nikt nie sądzi, że przez całe życie może być obojętny wobec Boga, a w chwili śmierci nagle stać się na Niego otwartym. Skąd nadejdzie otwartość na niebo,

jeśli zaniedbaliśmy ją na ziemi? Człowiek nie może nagle wejść do sali, gdzie odbywa się wykład z matematyki wyższej, i poczuć dreszczu z powodu równań, jeśli przez całe życie nie rozwijał zamiłowania do matematyki. Niebo poetów byłoby piekłem dla tych, którzy nigdy nie nauczyli się kochać poezji. A niebo Boskiej Prawdy, Prawości i Sprawiedliwości byłoby piekłem dla tych, którzy nigdy pilnie nie pielęgnowali tych cnót pod jego dachem. Niebo jest tylko dla tych, którzy na nie pracują. Jeśli tłamsimy każdą Bożą inspirację, zatrzymujemy każde poruszenie duszy ku Bogu, zasypujemy każdy przesmyk wiodący do Chrystusa – gdzież będzie nasze łaknienie Boga w Dniu Ostatecznym? Te same rzeczy, które zaniedbywaliśmy, staną się przyczyną naszego upadku. Te same rzeczy, które powinny były służyć nam do wzrostu, obróćą się przeciw nam i przyczynią do naszego rozkładu.

Słońce ogrzewające roślinę może w innych warunkach sprawić, że ona uschnie. Deszcz, który poi kwiat, może w innych warunkach sprawić, że roślina zgnije. To samo słońce świeci na błoto, co na воск; błoto czyni twardym, lecz rozmiękcza воск. Różnica nie tkwi w słońcu, lecz w tym, na co ono świeci. Tak samo jest z Bogiem. Życie Boże, które oświeca kochającą je duszę, czyni ją podatną na życie wieczne; to samo Boże Życie, które świeci na duszę leniwą, zaniedbującą Boga, sprawia, że twardnieje ona ku śmierci wiecznej. Podobnie i niebo, i piekło są skutkami Bożej Dobroci. Różnica między nimi bierze się z naszej reakcji na ową Dobroć; w tym zakresie są one i naszymi tworcami. Zarówno Bóg, jak i człowiek są, w różnym znaczeniu, twórcami nieba i piekła.

Zatem poświęćmy nieco uwagi temu słowu z krzyża: „Dokonało się”. Nasze powołanie kończy się tak jak Jego – na krzyżu i nigdzie indziej. Nagrodę królestwa otrzymują jedynie ci, którzy prawdę wprowadzają w życie, nie jej głosiciele czy słuchacze. Polega to na dawaniu tego, kim jesteśmy, a nie tego, co mamy. Nie powinniśmy mieć żadnych przesadnych obaw o nasze zdrowie, jeśli ciężko pracujemy dla królestwa Bożego; Bóg zatroszczy się o nasze zdrowie, jeśli my zatroszczymy się o Jego sprawę. W każdym razie lepiej jest się wypalić niż przerdzewieć. Zapalenie świecy z obu stron dla Boga może być głupotą dla świata, ale jest pożytecznym ćwiczeniem dla chrześcijanina – gdyż światło jest o tyle jaśniejsze. W życiu liczy się tylko jedna rzecz: być wartym Światła Świata w chwili Jego

nadejścia. „Uważajcie”, powiedział:

czuwajcie, bo nie wiecie, kiedy czas ten nadejdzie. Bo rzecz ma się podobnie jak z człowiekiem, który udał się w podróż. Zostawił swój dom, powierzył swym sługom staranie o wszystko, każdemu wyznaczył zajęcie, a odźwiernemu przykazał, żeby czuwał. Czuwajcie więc, bo nie wiecie, kiedy pan domu przyjdzie: z wieczora czy o północy, czy o pianiu kogutów, czy rankiem. By niespodzianie przyszedłszy, nie zastał was śpiących. Lecz co wam mówię, do wszystkich mówię: Czuwajcie! (Mk 13,33–37).

Musimy nie tylko wystrzegać się duchowego lenistwa; musimy pracować, by życie nasze się wypełniło. Ważnym słowem w walce z lenistwem jest „Dokonało się”. Świat sądzi po skutkach; nasz Pan sądzi po sposobie, w jaki wypełniamy i kończymy zadania nam powierzone. Dobre życie niekoniecznie jest życiem, w którym odnosi się sukcesy. Ci, którzy sięją, nie zawsze zbierają. Ci, których Bóg przeznacza jedynie do siewu, otrzymują swą nagrodę właśnie za to, choćby nawet nigdy nie zwieźli ani jednego snopka do niebieskiej stodoły. W przypowieści o talentach nagroda zostaje wyznaczona wedle tego, czy rozwinięte zostały ofiarowane możliwości, a wyznaczone obowiązki wypełnione. Pewnego dnia Pan nasz, „usiadłszy naprzeciw skarboxy, przypatrywał się, jak tłum wrzucał drobne pieniądze do skarboxy. Wielu bogatych wrzucało wiele. Przyszła też jedna uboga wdowa i wrzuciła dwa pieniążki, czyli jeden grosz. Wtedy przywołał swoich uczniów i rzekł do nich: »Zaprawdę, powiadam wam: Ta uboga wdowa wrzuciła najwięcej ze wszystkich, którzy kładli do skarboxy. Wszyscy bowiem wrzucali z tego, co im zbywało; ona zaś ze swego niedostatku wrzuciła wszystko, co miała na swe utrzymanie«” (Mk 12,41–44). Dla skarboxa świątyni skutek był trywialny, lecz dla jej duszy niespożyty. Nie spełniła swego obowiązku połowicznie, ona go wypełniła do końca. To właśnie rozumie się przez życie wypełnione.

W porządku chrześcijańskim to nie ważni ludzie są istotni i nie ci, którzy czynią wielkie rzeczy, są naprawdę wielcy. W oczach Boga król nie jest szlachetniejszy od chłopca. Człowiek stojący na czele rządu z milionami wojsk do dyspozycji nie jest w oczach Boga cenniejszy niż sparaliżowane dziecko. Ten pierwszy ma więcej okazji do czynienia zła, lecz podobnie jak wdowa w świątyni, jeśli dziecko swe zadanie poddania się woli Bożej

wypełni lepiej, niż dyktator wypełni swe zadanie krzewienia sprawiedliwości społecznej na chwałę Boga, wóczas dziecko go przewyższa. „Bóg nie ma względu na osoby”. Mężczyźni i kobiety są jedynie aktorami na scenie życia. Dlaczego ten, który odgrywa rolę bogacza, miałby chlubić się swym złotem i zastawionym stołem i uważać się za lepszego niż ten, który gra rolę żebraka żebrzącego o okruch z owego stołu? Gdy opada kurtyna, obaj są ludźmi. Więc gdy Bóg opuści kurtynę na zakończenie dramatu o odkupieniu świata, nie będzie pytał, jaką rolę odgrywaliśmy, lecz jak dobrze odegraliśmy to, co nam było przeznaczone. Mały Kwiatek powiedział, że człowiek mógłby zbawić swą duszę, podnosząc szpilki z miłości do Boga⁸. Gdybyśmy mogli stwarzać światy i koniuszkami palców strząsać je w kosmiczną przestrzeń, nie zadowolilibyśmy Boga bardziej, niż gdy wrzucamy monetę do puszki. Liczy się nie to, co czynimy, lecz dlaczego to czynimy. Pucybut polerujący z Bożej inspiracji parę butów czyni dla tego świata więcej dobrego niż wszystkie bezbożne konwencje, jakie zwołuje ów świat.

To intencja dokonuje dzieła. Obowiązki w życiu są jak marmur, płótno i kamień. Marmur staje się cenny dzięki kształtowi, jaki nadaje mu rzeźbiarz; płótno staje się szlachetne dzięki temu, co artysta namalował; kamień zostaje uczczony przez projekt architekta. Tak samo jest z naszymi czynami. Intencja daje im wartość, tak jak kształt daje wartość marmurowi. Boga nie interesuje to, co robimy naszymi rękoma, naszymi pieniędzmi, umysłami czy ustami, lecz co robimy naszą wolą. To nie dzieło, tylko jego wykonawca się liczy.

Niech ci, którzy myślą, że ich praca nie ma wartości, poznają, że gdy wypełniają swe niewiele znaczące zadania z miłości do Boga, nabierają one wartości nadprzyrodzonej. Starzy, którzy znoszą docinki młodych, chorzy przykuci do łóżek, imigrant bez wykształcenia pracujący w hucie stali, zamiatacz ulic, pracownik zakładów komunalnych, pracownica garderoby w teatrze, śpiewaczka rewiowa, która nigdy nie występowała solo, bezrobotny stolarz i sprzątacznik – wszyscy ci wstąpią na trony wyższe niż trony dyktatorów, prezydentów, królów i kardynałów, jeśli ich skromne zadania są zainspirowane większą miłością do Boga niż zadania ludzi odgrywających szlachetniejsze role, lecz kochających mniej.

Żadna praca nie jest zakończona, jeśli nie wykonujemy jej dla oddania czci i chwały Bogu. „Przeto czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego

czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie” (1 Kor 10,31). Gdy nasza dzierżawa na życie się skończy, zadane nam zostaną dwa pytania: Świat zapyta: „Ile zostawił po sobie?”. Aniołowie zapytają: „Ile ze sobą przyniósł?”. Dusza potrafi unieść wiele, lecz w drodze swej do Bożego tronu sprawiedliwości będzie posiadać tylko taki ładunek, jaki człowiek może ocalić z tonącego okrętu: swe dobre czyny dokonane na chwałę Bożą. Wszystko, co zostawiamy za sobą, jest „niewykonane”. Wszystko, co ze sobą zabieramy, jest „wykonane”.

Obyśmy nigdy nie umarli zbyt wcześnie! Nie oznacza to śmierci w młodym wieku; oznacza to śmierć przed wykonaniem naznaczonych nam zadań. To istotnie ciekawe, że nikt nigdy nie uważał, iż Pan nasz zmarł zbyt młodo! To dlatego, że wypełnił On sprawę swego Ojca. Lecz my, niezależnie od tego, ile mamy lat, gdy umieramy, zawsze czujemy, że zostało jeszcze coś do zrobienia. Dlaczego tak jest, jeśli nie dlatego, że nie wykonaliśmy dobrze powierzonych nam zadań? Nasze zadania nie muszą być wielkie; mogą polegać na dodaniu jednego tylko kamienia do Bożej Świątyni. Ale cokolwiek to jest, spełniaj każdy mały czyn w jedności z naszym Zbawicielem, który umarł na krzyżu, byś mógł wykonać swe życie. Wówczas nigdy nie umrzesz zbyt wcześnie!

Jeśli, niecierpliwy, pozwolisz, by ręce
twoje krzyż opuściły, w tym świecie już więcej
nie znajdziesz go, ani też w przyszłym; tu i tylko tu
dane ci jest cierpieć dla Boga.
Innymi słowy, winniśmy lepiej służyć Mu,
miłować Go, chwalić, pracować dla Niego.
I pełni zachwyty do Niego się zbliżyć.
Bo potem nie zostaniemy już wezwani,
by cierpieć, to jest zadanie nasze na tym świecie.
Czyż więc nie możesz cierpieć ni godziny – lub dwóch?
Gdyby dziś zdjął z ciebie ten twój krzyż,
mówiąc – Skończone – ten twój ciężki krzyż,
od którego się uwolnić chcesz, śląc modły,
czyż nie naszedłby cię jakiś żal namiętny,
czy nie myślisz, że byś wyrzekł: „Już? Tak szybko?
Pozwól mi go jeszcze ponieść jakiś czas,
bym cierpliwiej cierpiał – jaszczem nie uwielbił Boga”.

A On by odrzekł tobie – „Nigdy więcej,
ból się już skończył”. Kiedykolwiek to nastanie,
kres, którego wyglądamy, wyda się nam
prędki, tak, zbyt prędki. Baczmy więc już teraz,
aby Bóg mógł w nas być uwielbiony
i kiedy cierpimy, by dusze nasze chciały
cierpieć doskonale; bowiem to jedynie,
cierpienie, co świata łaską jest szczególną,
może tu osiągnąć doskonałość – i tutaj pozostać.
Wytrwaj więc, wytrwaj – bądź wierny aż do końca.

Harriet Eleanor Hamilton-King⁹

VII

SŁOWO SIÓDME: CHCIWOŚĆ

„Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego”.

(Łk 23,46)

Przemówienie wygłoszone 7 kwietnia 1939 roku

Chciwość jest nieuporządkowaną miłością do rzeczy światowych. Miłość taka staje się nieuporządkowana, jeśli człowiekiem nie kieruje dążenie do uzasadnionego celu, jak odpowiednie zabezpieczenie rodziny czy przyszłości, albo jeśli ktoś jest zbyt pieczołowity w gromadzeniu bogactwa, albo nadto skąpy w wydawaniu go. Grzech chciwości zatem polega zarówno na intencji, którą ktoś się kieruje w nabywaniu dóbr tego świata, jak i sposobie, w jaki to czyni. Nie jest niewłaściwą miłość do nadmiernej kwoty pieniędzy, lecz nieuporządkowana miłość do jakiegokolwiek kwoty. Dlatego tylko, że ktoś ma wielką fortunę, nie oznacza, że jest chciwym człowiekiem. Dziecko posiadające kilka groszy może być bardziej chciwe. Rzeczy materialne są czymś słusznym i koniecznym, gdyż umożliwiają nam życie zgodne z naszym stanem, ograniczanie cierpienia, przybliżanie królestwa Bożego i zbawienie naszych dusz. To dążenie do bogactwa jako celu, a nie jako środka do powyższych celów, czyni człowieka chciwym.

Do tej kategorii ludzi chciwych należy młoda kobieta, która poślubia rozwiedzionego mężczyznę dla pieniędzy, urzędnik państwowy biorący łapówkę, prawnik, wychowawca czy duchowny, który sponsoruje ruchy radykalne dla zysku, kapitalista, który ponad prawa i potrzeby człowieka przedkłada zysk, i lider partii pracy, który ponad prawowite interesy ludzi pracy przedkłada interes partyjny. Chciwość jest dzisiaj znacznie bardziej powszechna, niż moglibyśmy przypuszczać. Niegdyś mieli na nią monopol chciwi bogacze; teraz dzielą ją z nimi także zazdrośni biedacy. To, że człowiek nie ma pieniędzy w kieszeni, nie jest żadnym dowodem na to, że

nie jest chciwy; może być biedny wbrew własnej woli i kochać bogactwo z namiętnością daleko przewyższającą namiętność tych, którzy je posiadają. Historia daje świadectwo, że każdy radykalny rewolucjonista w dziedzinie gospodarki był zainteresowany wyłącznie jedną rzeczą: łupem. Jedynymi biednymi, którzy atakowali bogatych, a niczego dla siebie nie chcieli, byli nasz Pan i św. Franciszek z Asyżu. Bardzo niewiele jest dzisiaj bezinteresownych miłośników ludzi biednych; większość z ich tak zwanych obrońców nie tyle kocha biednych, ile nienawidzi bogatych. Nienawidzi wszystkich bogatych, a kocha tylko tych biednych, którzy pomogą im osiągnąć ich nikczemne cele.

Taka pycha rujnuje człowieka, dlatego że zatwardza jego serce. Człowiek staje się jak to, co kocha, więc jeśli kocha złoto, staje się jak złoto: twarde, zimne, żółte. Im więcej nabywa, tym bardziej cierpi, oddając nawet najmniejszą część, podobnie jak wyrwanie jednego włosa boli, pomimo że na głowie jest ich pełno. Im więcej otrzymuje człowiek bogaty w grzeszny sposób, tym więcej, jak mniema, potrzebuje. We własnych oczach zawsze jest biedny. Zmysł duchowy zatem jest tak zagłuszany, że najdroższe skarby duchowe wymieniane są na trywialne zyski materialne, podobnie jak Judasz sprzedał swego Pana za trzydzieści srebrników. Jak uczy nas św. Paweł: „Albowiem korzeniem wszelkiego zła jest chciwość pieniędzy. Za nimi to uganiając się, niektórzy zbłądzili z dala od wiary...” (1 Tm 6,10).

Gdy wszystko układa się dobrze, chętnie obywamy się bez Boga, tak jak młody człowiek w Ewangelii, który przyszedł do Pana naszego tylko dlatego, że pozbawiano go części spadku: „Nauczycielu, powiedz mojemu bratu, żeby się podzielił ze mną spadkiem” (Łk 12,13). Dopiero gdy nastąpiło zamieszanie w sprawach majątkowych, ten młody człowiek zwrócił się do Boga. Jest dziś wielu takich, którzy uważają, że jedynym powodem dla istnienia Kościoła jest naprawa porządku ekonomicznego, a jeśli nie otrzymują oni swej części, oskarżają Kościół o niepowodzenie. Równie dobrze Kościół mógłby odpowiedzieć słowami naszego Pana: „Człowieku, któż Mnie ustanowił nad wami sędzią albo rozjemcą?” (Łk 12,14).

Jednym z powodów pobytu naszego Pana na ziemi było odwrócenie serca człowieka od rzeczy przemijających i skierowanie ich ku wiecznym wartościom duchowym. Od samego początku jego nauczanie stanowiło nie

tylko ostrzeżenie przeciw chciwości, lecz i błaganie o większe zaufanie Bożej Opatrzności. „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje” (Mt 6,19–21).

Dlatego powiadam wam: Nie martwcie się o swoje życie, o to, co macie jeść i pić, ani o swoje ciało, czym się macie przyodzierać. Czyż życie nie znaczy więcej niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie? Przypatrzcie się ptakom podniebnym: nie sieją ani żną i nie zbierają do spichlerzy, a Ojciec wasz niebieski je żywi. Czyż wy nie jesteście ważniejsi niż one? Kto z was, martwiąc się, może choćby jedną chwilę dołożyć do wieku swego życia? A o odzienie czemu się martwicie? Przypatrzcie się liliom polnym, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich. Jeśli więc ziele polne, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej was, ludzie małej wiary? Nie martwcie się zatem i nie mówcie: co będziemy jedli? co będziemy pili? czym będziemy się przyodziewali? Bo o to wszystko poganie zabiegają. Przecież Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Starajcie się naprzód o królestwo Boga i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane. Nie martwcie się więc o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o sobie martwić się będzie. Dostyc ma dzień [każdy] swojej biedy (Mt 6,25–34).

Człowiek, który nadmiernie kocha bogactwo, jest człowiekiem upadłym, ponieważ dokonuje złej wymiany; mógłby mieć niebo dzięki swej hojności, a ma tylko ziemię. Mógłby zachować swą duszę, lecz sprzedał ją za rzeczy materialne. Wielbłądy łatwiej przejdą przez ucho igielne, niż chciwy wejdzie przez bramy nieba. Oczywiście łatwo było potępiać bogatych; świat jest aż nazbyt pełen tych, którzy to obecnie czynią. Ale nasi rewolucjoniści gospodarczy czynią to, ponieważ zazdroszczą bogactwa, a nie dlatego, że kochają ubóstwo. Nie było tak w przypadku Boskiego Zbawiciela. Ten, który potępił bogacza oraz człowieka, który kazał zbudować większe spichlerze i zmarł tego samego dnia, Ten, który grzmiał, że nie można służyć Bogu i mamonie, żył swoją Ewangelią. Nie w szpitalu, nie w domu czy w mieście, ale w stajni na polu przyszedł na świat, który sam stworzył. Nie pieniędzmi zarabiał pieniądze w kantorach wymiany, ale jako ubogi cieśla. Zarabiał na życie dwoma najbardziej prymitywnymi narzędziami, jakich się używa:

drewnem i młotem. Podczas trzech lat, kiedy nauczał, za swoją własność nie mógł uznać nawet kawałka dachu: „Lisy mają nory i ptaki podniebne – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł położyć” (Łk 9,58). Potem, w chwili śmierci, nie miał żadnego bogactwa, które by mógł zostawić; swą Matkę dał Janowi, swe ciało – grobowi, swą krew – ziemi, a odzienie – oprawcom. Choć nie miał zupełnie żadnej własności, nadal był znienawidzony, co zadaje kłam tym, którzy twierdzą, że religia jest znienawidzona z powodu materialnej własności. Religia jest znienawidzona, ponieważ jest religią, a istnienie własności to jedynie wymówka dla rugowania Boga z ziemi. W sprawie Jego testamentu nie toczyła się żadna kłótnia; nie odbyła się żadna dyskusja nad tym, jak podzielić Jego własność; w sprawie Pana Wszechświata nie odbył się żaden proces sądowy. Odrzucił On wszystko, aby zadośćuczynić za chciwość; zatrzymał sobie tylko jedno, a nie była to żadna rzecz – swego ducha. Z głośnym okrzykiem, tak mocnym, że uwolnił Jego duszę od ciała i zaświadczył o tym, że to nie Jemu odbierano życie, lecz On je oddawał, wypowiedział słowa pożegnania: „Ojczy, w ręce Twoje powierzam ducha mego” (Łk 23,46). Wybrzmiał On ponad ciemnością i zaginął w najodleglejszych zakątkach ziemi. Od tamtego czasu świat na wszelkie możliwe sposoby wzniecał hałas, by go zgłuszyć. Ludzie zajmowali się byle czym, aby odciąć się od tego okrzyku – lecz poprzez mgły i ciemność nad miastami, w ciszy nocy, to okropne wołanie znajduje się w zasięgu uszu każdego, kto nie zmusza się, aby zapomnieć; słuchając go, uczymy się dwóch prawd: 1. im więcej więzów łączy nas z ziemią, tym ciężiej będzie nam umrzeć; 2. nigdy nie było nam przeznaczone, abyśmy tu, na ziemi, zostali nasyceni w sposób doskonały.

W każdej przyjaźni jest tak, że serca wzrastają i splatają się ze sobą, aż dwa serca zdają się tworzyć jedno, obdarzone wspólną myślą. Dlatego tak bolesne jest rozstanie: nie tyle rozdzielają się dwa serca, ile jedno rozrywa się na dwoje. Gdy człowiek w sposób nieuporządkowany kocha bogactwo, on i ono rosną razem, niczym drzewo wrastające korzeniami w szczeliny skalne. Dla takiego człowieka śmierć jest bolesną szarpaniną, ponieważ ściśle identyfikuje się on z rzeczami materialnymi. Ma wszystko, dla czego żyje, i nic, dla czego miałby umrzeć. Wskutek tego przy śmierci staje się najędzniejszym, wyczutym ze wszystkiego żebrakiem na świecie, gdyż nie

ma nic, co mógłby ze sobą zabrać. Odkrywa – za późno – że nie należał do siebie, lecz do rzeczy – ponieważ bogactwo jest bezlitosnym panem. Nie pozwalało mu w ciągu życia myśleć o niczym innym, tylko o pomnażaniu się. Teraz zbyt późno człowiek uświadamia sobie, że przez poświęcanie się napełnianiu spichlerzy nigdy nie był wolny, by zabezpieczyć jedyną rzecz, którą mógłby ponieść do wieczności: swą duszę. Stracił wszystko, by zyskać cząstkę; zdobył na ziemi ułamek, teraz potrzebne mu są tylko niecałe dwa metry. Jak olbrzym przywiązany przez dziesięć tysięcy lin do dziesięciu tysięcy pali, nie może już myśleć o niczym poza tym, co musi zostawić. Dlatego właśnie śmierć jest tak ciężka dla chciwego bogacza.

Natomiast gdy więzy z tym, co ziemskie, rozluźnią się, rozstanie jest łatwiejsze. Tam, gdzie jest nasz skarb, tam będzie też i nasze serce. Jeśli żyliśmy dla Boga, śmierć będzie wyzwoleniem. Ziemia i to, co można posiadać, to klatka, która nas otacza, a śmierć jest otwarciem jej drzwi, umożliwiającym naszej duszy wyfrunięcie do jej Ukochanego, dla którego jedynie żyła i dla którego jedynie chciała umrzeć. Nasza moc nieposiadania przewyższa moc posiadania; ręce nasze nigdy nie mogłyby pomieścić złota całego świata, ale możemy zmyć z rąk jego pragnienie. Nie możemy posiadać świata, ale możemy wyrzec się posiadania go. Dlatego właśnie dusza, która ślubowała ubóstwo, doznaje większego nasycenia niż dusza najbogatszego chciwca na świecie, gdyż on jeszcze nie posiada wszystkiego, co by chciał mieć, natomiast osoba wierząca posiada wszystko: w pewnym sensie ma wszystko i jest całkowicie szczęśliwa. Takie właśnie ubóstwo ducha, które wzbilo się na szczyty wzniosłości, uczyniło śmierć naszego Pana tak łatwą. Nie miał On żadnych ziemskich przywiązań. Jego skarb był u Ojca i dusza poddała się prawu duchowego ciężenia. Złoto, niczym brud, opada; miłość miłosierna, niczym ogień, wznosi się. „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego”.

Śmierć naszego Pana na krzyżu odsłania także prawdę, że tu, na ziemi, będziemy ciągle nienasyceń. Gdyby to ziemia miała być rajem, Ten, który ją stworzył, nigdy by jej nie opuścił w Wielki Piątek. Powierzenie ducha Ojcu było jednocześnie odmową powierzenia go ziemi. Dokonanie czy spełnienie życia następuje w niebie, nie na ziemi.

Nasz Pan w swym ostatnim słowie mówi, że nigdzie indziej nie

zostaniemy nasyceni, jak tylko w Bogu. Jest absolutnie niemożliwe, byśmy byli doskonale szczęśliwi tu, na ziemi. Nic nie jest tego lepszym dowodem niż rozczarowanie. Można by nawet powiedzieć, że esencją życia jest rozczarowanie. Czekamy na stanowisko, na małżeństwo, własność, władzę, popularność, bogactwo; a gdy osiągamy je, musimy przyznać, jeśli jesteśmy szczerzy, że nie spełniają naszych oczekiwań. Jako dzieci wyczekiwaliśmy świąt Bożego Narodzenia; gdy wreszcie nadchodziły i otrzymaliśmy swoją porcję słodyczy, wypróbowaliśmy każdą zabawkę, utuliliśmy każdą lalkę, a potem wpełzliśmy do łóżek, mówiliśmy sobie w samej głębi serca: „Jakoś tak niezupełnie spełniło to moje oczekiwania”. To doświadczenie powtarza się w życiu tysiące razy.

Lecz dlaczego następuje to rozczarowanie? Ponieważ gdy wyczekujemy przyszłego ideału, obdarzamy go czymś z nieskończoności duszy. Mogę wyobrazić sobie dom z dziesięcioma tysiącami pokoi wybitymi diamentami i szmaragdami, ale nigdy go nie zobaczę. Mogę wyobrazić sobie złotą górę, lecz nigdy jej nie zobaczę. Tak samo jest z naszymi ziemskimi ideałami. Zabarwiamy je duchowymi właściwościami duszy. Ale gdy się stają rzeczywistością, są konkretne, jesteśmy „zapakowani, zamurowani, przybici, przykuci”¹⁰. Tworzy się olbrzymia dysproporcja między ideałem, jaki sobie stworzyliśmy, a oglądaną rzeczywistością. Owa dysproporcja między nieskończonym a skończonym jest przyczyną tego rozczarowania. Przed tym faktem nie ma ucieczki. W sercach naszych jest wieczność, lecz w rękach – czas. Nasze oczy wznoszą się ku górom, lecz spoczywają tylko na równinach. Łatwiej jest zdławić ideały niż znaleźć coś, co będzie ich spełnieniem. Ten, kto osiąga swój ziemski ideał, rozbija go. Dotknąć ideału na tym świecie oznacza zniszczyć go. „Nikt nie jest bohaterem dla swojego sługi”¹¹. Na krawędzi studni nie czujemy już pragnienia. Zdobywanie ziemskich ideałów obraca się przeciw nam, jak okrutna riposta od osoby, której sprawiliśmy oszukańczy komplement.

Lecz nie ma powodu, dla którego mielibyśmy być pesymistami czy cynikami. Rozczarowanie nie jest dowodem na to, że ideału nie ma, tylko na to, że nie ma go tutaj. Tak jak nie mielibyśmy oczu, gdyby nie było piękna, ani uszu, gdyby nie było melodii, tak samo nie mielibyśmy apetytu na nieskończoność, gdyby nie było Boga, którego można kochać. W Nim

wyłącznie następuje pojednanie między pogonią a zdobywaniem. Tu, na ziemi, jesteśmy poszturchiwani między jednym a drugim. Pogoń wzbudza dreszcze, gdyż jest dążeniem do ideału, poszukiwaniem nasycenia, marszem po zwycięstwo. Zdobywanie także wzbudza dreszcz, gdyż jest posiadaniem, radowaniem się i pokojem. Lecz dopóki żyjemy w czasie, nie możemy cieszyć się oboma naraz. Zdobywanie kończy ekscytację pogoni; a pogoń bez zdobywania rozwściecza, podobnie jak rozwściecza odsunięcie od wyschniętych warg orzeźwiającego napoju, który był tuż-tuż.

Jak połączyć pogoń ze zdobywaniem bez nudy, jaką ono przynosi, i zdobywanie z pogonią bez utraty płynącej z niej radości? Tu, na ziemi, jest to niemożliwe, ale nie w niebie, bo gdy osiągniemy Boga, pochwycimy Nieskończone, a ponieważ On jest Nieskończonym, całą wieczność zabierze nam odkrywanie nieodkrywalnych radości Życia, Prawdy, Dobra i Piękna.

Takie znaczenie ma ostatnie, pożegnalne słowo z krzyża. Wieki temu słońce oświecało rośliny oraz drzewa i uwięziło w nich swe światło oraz ciepło. Dziś odkopujemy to światło i ciepło w postaci węgla; gdy płomień podczas spalania go wędruje w górę, spłacamy nasz dług słońcu. I tak Boskie Światło, które przez trzydzieści trzy lata więziło samo siebie w ludzkim sercu, wraca do Ojca po to, aby przypomnieć nam, że tylko wędrując podobnym kołem i powierzając dusze Ojcu, odkrywamy odpowiedź na zagadkę życia, kres rozczarowania i początek wiekuistego pokoju dla naszych nieśmiertelnych serc.

Wszystko jest rozczarowaniem – z wyjątkiem odkupieńczej miłości naszego Pana. Można żyć, nabywając rzeczy, i dalej być biednym, dopóki dusza nie napełni się miłością do Tego, który umarł na krzyżu dla nas. Tak jak oko zostało uczynione, by widzieć, i ucho, by słyszeć, tak duch został uczyniony, by zostać z powrotem przez Boga odwołany. Gdyby miał on jakiegokolwiek inne przeznaczenie, słowa umierającego Zbawcy zdradziłyby je. Duch ma zdolność uczestnictwa w nieskończoności; wiedza o jednym kwiecie, życie przez jedną godzinę, miłość trwająca minutę nie wyczerpują jego możliwości; pragnie tych rzeczy w pełni – jednym słowem, pragnie Boga.

Tragedią naszego współczesnego życia jest to, że wiele osób upatruje swych przyjemności w pragnieniach zamiast w odkryciach.

Utraciwszy jedyny cel życia, mianowicie Boga, szukają substytutów w pomniejszych rzeczach ziemskich. Po powtarzających się rozczarowaniach ludzie ci zaczynają pokładać swe szczęście nie w przyjemności, lecz w pogoni za nią, w motylej egzystencji, która nigdy nie trwa na tyle długo, by poznali swe wewnętrzne pragnienia; biegają w wyścigach z nadzieją, że nigdy się one nie skończą; przewracają strony, lecz nigdy nie odkrywają fabuły; pukają do drzwi prawdy, a następnie umykają, na wypadek gdyby się otworzyły, a ich zaproszono do środka. Egzystencja staje się ucieczką od pokoju zamiast dążeniem ku niemu; chwilową ucieczką od frustracji zamiast uwznioślającym zwycięstwem.

Co jakiś czas przez chmury przebija się światło z Kalwarii i echo słów powierzenia ducha Bogu; ale człowiek, zamiast podjąć najwyższy wysiłek, by wypełnić cel życia, krzyżuje go. „Lecz rolnicy, zobaczywszy go, naradzali się między sobą, mówiąc: »To jest dziedzic, zabijmy go, a dziedzictwo stanie się nasze«. I wyrzuciwszy go z winnicy, zabili” (Łk 20,14–15). Zatem niektórzy ludzie wierzą właśnie, że gdyby mogli wyrugować Boga z ziemi, dziedzictwo grzechu bez wyrzutów sumienia stałoby się ich; i gdyby mogli choćby zagłuszyć sumienie, odziedziczyliby pokój bez sprawiedliwości. Taki właśnie sposób myślenia posłał naszego Pana na krzyż. Ludzie ci sądzili, że gdyby dało się stłumić głos Boga, mogliby w pokoju radować się głosem Szatana.

Spójrzmy teraz na świat z innej strony. Ilu spośród tych, którzy zabili sumienie, może powiedzieć: „Jestem szczęśliwy, niczego więcej nie pragnę”? Lecz jeśli nie ma się odwagi, by to powiedzieć, dlaczego nie szukać? I dlaczego szukając, nie iść w tym jednym kierunku, o którym wiemy, że prowadzi do szczęścia? W chwili śmierci zostawisz wszystko, lecz jednej rzeczy nie zostawisz – swego pragnienia, by żyć. Pragniesz tej jednej rzeczy, którą przynosi ci krzyż: życia poprzez śmierć.

W jego olśniewającym blasku wyraźna staje się tajemnica istnienia. Krzyż dotyczy mnie, osobiście i indywidualnie, jakby nikt inny na świecie nigdy nie istniał. Na krzyżu On szukał moich śladów, poświęcając siebie, co jest najwznioślejszym z gestów, programem na życie: poddaniem się woli Bożej. Poszedł ciemną drogą z Getsemani do śmierci na Kalwarii, gdyż poświęcił się dla chwały Bożej i dla mojego zbawienia. Za moje karygodne

samopobłażanie zadośćuczyni On, oddając siebie: „Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas” (Iz 53,5).

Skoro temu Mistrzowi symfonii brakowałoby w harmonii wszechświata jednej nuty cnotliwej, którą ja śpiewam; skoro temu Dowódcy wojennemu brakowałoby mojej włóczni w jego bitwie o dobro; skoro temu Artyście brakowałoby mojej kolorowej plamki w arcydziele odkupienia; skoro ten Architekt Kosmosu zauważyłby brak mojego kamyczka w Świątyni przez Niego wznoszonej; skoro to Drzewo Życia odczułoby, że w grzeszność ziemską spadł z niego mój maleńki listek; skoro ten Ojciec Niebieski tęskniłby za mną, widząc puste krzesło na uczcie wydanej dla milionów dzieci Bożych; skoro ten Mówca z kazalnicy krzyża dostrzegłby moją nieuwagę, gdybym odwrócił się i spojrział na wykonującego wyrok; skoro Bóg tak bardzo troszczy się o mnie, w takim razie muszę być coś wart, ponieważ tak mocno mnie kocha!

A gdy On sam przybliży się i stanie
obok ciebie, i wpatrzy się w ciebie oczami,
co śmieją się i cierpią; sama ich żałość
pograży twoje serce w miłosnym pokoju;
nachyliwszy się nad tobą, poda święty kielich
(uwieńczony kwieciem męczennicy
i drążącymi skrami rubinowych gwiazd),
poblądły, królewski, powie: „Wypij ze mną”,
czy odmówisz Mu? Nie, choćby za cenę raju!
Przynagli ciebie blade czoło, ręce czyste
usłużą tobie; wejdiesz w tę komunie
przez głębokie ciemne wody swojej męki,
a twe serce Jego chwalić będzie i do Niego tęsknić
jeszcze bardziej w tej godzinie. Trzymaj
mocno Jego rękę,
choć gwoździe przebijają także twoją dłoń! Bacz tylko,
aby żadna kropla sakramentalnego wina
nie została rozlana, tego, które zawsze będzie łączyć
ciebie z duszą, ciałem, z żywym Panem!

Harriet Eleonor Hamilton-King

VIII

WNIOSKI: ZAMKNIĘTE DRZWI

Kazanie wygłoszone 9 kwietnia 1939 roku

Tylko raz w historii świata przed grobem martwego człowieka postawiono straż. Tylko raz w zwojach czasu zapisano, że przed grób zatoczono głąz, by zapobiec ucieczce zwłok – a było to w Wielki Piątek. Gdyby Hitler wysłał żołnierzy, by strzegli grobu Bismarcka, reszta świata uznałaby to za najbardziej szalone ze wszystkich szaleństw. Gdyby Republika Francuska nakazała uzbrojonym pojazdom otoczyć grób Napoleona i zapieczętowała wejście kamieniem mamucim, świat obśmiałby Francję szyderczym śmiechem.

A jednak wówczas, z całą powagą, po tym, jak Człowiek został sponiewierany szturchańcami, ukoronowany cierniem, ubiczowany tak, że ciało zwisało z Niego jak karmazynowe wstęgi, obciążony ciężkim drzewem, które zmuszony był wlec przez ulice miasta pod górę, przybity do niego przez członków tego samego co On zawodu, a potem zawieszony na stalowych gwoździach przez trzy godziny, przebity włócznią, aż wypłynęła krew i woda, ogłoszony martwym i pogrzebany wraz ze stufuntowym ciężarem duszących wonności – po tym wszystkim kapłani i faryzeusze idą do rzymskiego namiestnika i proszą o prawo „opieczętowania grobu i postawienia straży”.

Te środki ostrożności nigdy nie wydały się światu zabawne, choć w każdych innych okolicznościach obecność wyciągniętych mieczy i żołnierzy w stanie gotowości przed grobem zmarłego byłaby szczytem śmieszności. Myśliwi kurczący się ze strachu przed martwym lwem czy zoolodzy szczepiący się w sąsiedztwie martwego węża nie wydawaliby się tak głupi, jak widok mężczyzn stojących w gotowości do odparcia ataku człowieka zmarłego.

Ton głupoty odbiera tej scenie jeden fakt: Jego wrogowie rzeczywiście

się obawiali, że On powstanie z martwych. Nazywali go „uzurpatorem”, a jednak bali się, że nim nie jest; wołali, by „zszedł z krzyża”, na poły lękając się, że to zrobi; wydrwiwali Jego prorocstwo, że trzeciego dnia zmartwychwstanie, ale zapieczętowali wejście do grobu, ponieważ obawiali się, by istotnie nie powstał; śmiali się z pogardą, gdy powiedział, że żaden inny znak nie zostanie dany niewiernemu pokoleniu prócz znaku Jonasza, ale poprosili, by żołnierze rzymscy stali na straży przed ziemskim wielorybem, na wypadek gdyby jednak uwolnił się od spoczywającego w nim ciężaru u wybrzeży wieczności. Byli pewni, że został pogrzebany, a jednak nie byli pewni, że istotnie oddał życie; byli pewni, że znajdował się w grobie, lecz nie byli pewni, czy zdołają Go tam zatrzymać. Dziwaczna mieszanina wiary i niewiary! Nie mieli już czego się obawiać, ale nie mieli zamiaru ryzykować; pozbyli się Jego Obecności, lecz bali się, że znów może powstać; był martwy, a jednak być może żył.

Ta dziwaczna mieszanka sceptycyzmu i wiary usprawiedliwia niewiarygodnie przerażający widok żołnierzy ustawionych w bitewnym szyku przeciwko zmarłemu oraz widok kamienia zatoczonego przeciwko człowiekowi podobnie jak i on bez życia. To nie jest śmieszne; nie jest to nawet zabawne; jest to poważny dowód: gdy ludzie buntują się przeciw Boskości, najwyraźniej ogarnia ich niekomfortowe uczucie, że jednak Bóg jakimś sposobem może istnieć. Będą mieli pewność, że zabili Chrystusa, a jednak będą strzec Jego grobu. Świętując swe przytłaczające zwycięstwo, wciąż mają oko na wroga; maszerując na ucztę weselną, wciąż słyszą odległe tony swego marsza pogrzebowego. Gdy wrogiem jest Bóg, ludzie nigdy nie mogą być pewni, że odnieśli zwycięstwo.

Ich obawy były uzasadnione. Powstał tak, jak zapowiedział. Ale w jaki sposób? Przy dźwięku trąb? Przy tupocie niewidocznych stóp przemykających obok rzymskich straży? Nie! W chwili gdy mrok był największy, a cisza najgłębsza, poprzedzająca pierwszy rumieniec dnia – niespodziewanie czarne powietrze rozbłysło kształtem, „albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim. Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg. Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby umarli” (Mt 28,2–4). Pośród bitewnego

wiru i szczęku broni byliby nieustraszeni, lecz stracili głowę wobec stworzenia nie z krwi i kości. Zwracając się do niewiast, które lepiej zniosły jego widok niż dzielni żołnierze, anioł powiedział: „Wy się nie bójcie! Gdyż wiem, że szukacie Jezusa Ukrzyżowanego. Nie ma Go tu, bo zmartwychwstał, jak zapowiedział. Przyjdźcie, zobaczcie miejsce, gdzie leżał” (Mt 28,5–6). „A oto Jezus stanął przed nimi, mówiąc: »Witajcie!«. One podeszły do Niego, objęły Go za nogi i oddały Mu pokłon” (Mt 28,9). Gdy wrogiem jest Bóg, ludzie nigdy nie mogą być pewni, że odnieśli zwycięstwo.

Ta lekcja jest równie ważna dziś, jak była tej pierwszej Wielkanocy. Rozważmy na przykład postać tego, który później stał się św. Pawłem. Oto był sobie syn Abrahama, wykształcony w greckiej dialektyce, mistrz Pisma Świętego, pilny uczeń wielkiego Gamaliela, który słyszał o nowej religii, którą kilku galilejskich chłopów zaczynało głosić nie tylko na obszarze Izraela, lecz także na obszarze imperium rzymskiego w ogóle. Dla Szawła był to tylko słomiany zapał; Chrystus był tylko uzurpatorem; Jego naśladowcy byli wrogami własnego ludu i skandalem dla Greków. Wystarczyło trochę ucisku tu i tam, by niebezpieczna sekta została zlikwidowana. Pierwszym z czynów Szawła była asysta przy męczeństwie Szczepana, jednego z najbłyskotliwszych diakonów chrześcijaństwa. Szawel rozpoczął następnie szerzenie terroru, brał udział w procesach skazujących chrześcijan na więzienie, tortury i śmierć. Jeszcze jeden silniejszy cios i chrześcijaństwo zginie. Zaopatrzony w listy od Teofilusza, najwyższego kapłana z Jerozolimy, Paweł dostał pozwolenie otwarcia sądu śledczego w Damaszku. Chrystus-uzurpator był martwy! Teraz i chrześcijaństwo-uzurpacja stanie się martwe! Podążał przez niekończące się połacie pustynnych równin Hermonu, zanim końskie kopyta zatupotały na bruku rzymskiej roboty; nagle uskoczyły w bok z przerażeniem i zatrzymały się przed oślepiającą jasnością. Zderzenie się, popłoch, tumult głosów, następnie cisza i wzrok oddziały utkwiony w przywódcę rozciągniętego na drodze. Słyszą, jak zadaje pytania: „Kto jesteś, Panie?” – i Paweł, teraz zupełnie ślepy, słyszy odpowiedź: „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz” (Dz 9,5). Widział zmartwychwstałego Chrystusa i prześladował Go w chrześcijanach. Paweł, który sądził, że zabił wroga, nie odniósł

zwycięstwa. Był pewien, że Chrystus jest martwy, a pomimo to bał się, że być może jednak żyje! Żył i rozmawiał z nim. Gdy wrogiem jest Bóg, ludzie nigdy nie mogą być pewni, że odnieśli zwycięstwo.

Rozważmy przykład Rosji. Oto kraj obejmujący jedną szóstą powierzchni ziemi, który jako pierwszy w świecie współczesnym zbudował rządy zdecydowanie przeciwne Bogu. Siedemdziesiąt dwa tysiące kościołów i kaplic zostało zamkniętych, zniszczonych albo przeznaczonych do świeckiego użytku. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy duchownych zostało wygnanych lub zamordowanych, a miliony wiernych zesłano za tę jedynie zbrodnię, że wierzyli w Boga. Edukacja nie stała się bezbożna, jak w większości przypadków w Ameryce; stała się przeciwna Bogu. Gazety nie zaczęły ignorować spraw religii, ale atakować, a jednorazowy nakład jednej z nich doszedł do siedmiu milionów egzemplarzy tygodniowo. Mówiono, że religia to opium, którym kapitaliści karmili lud; skoro kapitalizm został wygnany, to i religia powinna roztopić się w powietrzu.

Zabili Chrystusa. Już nigdy nie powstanie. Mogą wskazać, gdzie jest grób. Ale czy to ich zadowoliło? Nie! Siły przeciwne Bogu poprosiły rząd o straż; poprosili o zamknięcie granicy, aby religia już nigdy nie wróciła. „Zapieczętowali grób”.

Lecz dlaczego tak się obawiali? Dlaczego uczyli bezbożności dziesięcioletnie dzieci, które nigdy nie były pod wpływem żadnej religii? Dlaczego głosili bezbożność bezbożnym? Dlaczego atakowali religię w kraju, w którym nikt poniżej dwudziestego siódmego roku życia nie mógł pamiętać, że słyszał słowo „Bóg”, chyba że wypowiedziane z nienawiścią i szyderstwem? W Rosji nie bardziej wierzono w duchy niż w Boga. Jeśli Bóg był jedynie wytworem fantazji, podobnie jak duchy, dlaczego musieli staczać bitwę przeciwko wierze w duchy? Działo się tak dlatego, że gdy ludzie walczą przeciw Bogu, nie walczą z wytworem wyobraźni; walczą z czymś tak rzeczywistym, jak pchnięcie mieczem czy uścisk. Robią to dla tej samej przyczyny, dla której faryzeusze prosili o żołnierzy, którzy mieli pełnić straż przed grobem Chrystusa. Ponieważ człowiek, nawet w momencie największej pewności, że wyrugował Boga z powierzchni ziemi, naprawdę wątpi w swoje zwycięstwo. Nie dowierza swemu niedowiarstwu; nie ma

wiary w swój ateizm; wątpi w swój własny sceptycyzm.

Od Wielkiego Piątku począwszy, człowiek stale musi się lękać, że zamknięte drzwi nie zdołają utrzymać za sobą Światła Świata. Drzwi Rosji zostały zamknięte, o ile kiedykolwiek naród mógł zamknąć drzwi przed Bogiem, a jednak jakimś sposobem religia tam nie umarła. Głosiciele Słowa Bożego – żydowscy rabini, duchowni protestanccy, księża katoliccy – zdają się powstawać ze swych grobów. Pomimo wszelkich minionych wysiłków i czujności wędrowni kaznodzieje chrzczą, nauczają i udzielają ślubów kościelnych, żołnierze noszą krzyżyki, a wielkanocna lekcja znów wybrzmiewa: „Jezus przyszedł, choć drzwi były zamknięte, stanął pośrodku i rzekł: »Pokój wam!«” (J 20,26). Gdy wrogiem jest Bóg, ludzie nigdy nie mogą być pewni, że odnieśli zwycięstwo.

Byliśmy świadkami identycznego zjawiska w Niemczech. „Nowi” filozofowie w tym kraju byli przekonani, że adorowanie rasy zastąpiło adorowanie Boga. Przy użyciu siły zbrojnej zamknięto wszystkie kościelne szkoły w Bawarii, zniesiono prasę katolicką, wygnano i uwięziono duchownych chrześcijańskich. Kontrkościołem stała się rasa, a propaganda, tajne służby i sfingowane procesy narzuciły fałszywą ideologię krwi germańskiej jako wcielenia germańskiego mitu.

Rząd niemiecki był pewien, że zabił Chrystusa i że On nigdy już nie powstanie. A jednak tym samym gestem postawił straż na grobie chrześcijaństwa. Skoro zbawienie umarło, a rasa żyje, dlaczego tak zawzięcie prześladowano coś, co było martwe? Dlaczego wrogowie Kościoła szli do Piłata Niemiec i mówili: „Daj nam straż – to, co umarło, może znów ożyć”? Robili to tylko dlatego, że gdy wrogiem jest Bóg, ludzie nigdy nie mogą być pewni, że odnieśli zwycięstwo.

To, co prawdziwe w kwestii narodów, jest też prawdziwe w kwestii sumienia. Są w naszym kraju miliony ludzi, których życie rozmija się z Bogiem i którzy romansują z ateizmem, ponieważ ich czyny są złe; którzy grzeszą bezkarnie i wywołują przesady; którzy są przekonani, że religia umiera, ponieważ jest tylko „opium dla ludu”; są to ci sami ludzie, którzy budzą się w nocy i przeżywają straszną, okropną grozę śmierci. Są pewni, że

za głosem sumienia nie stoi Bóg, lecz wysyłają żołnierzy w postaci podniet, pośpiechu i hałasu, aby zagłuszyć jego głos. Pogrzebali religię, lecz religia ich nie pogrzebie. Dali sobie spokój z Chrystusem, lecz On sobie z nimi nie da spokoju. Dlaczego? Ponieważ gdy wrogiem jest Bóg, ludzie nigdy nie mogą być pewni, że odnieśli zwycięstwo.

Teraz przyjrzyjmy się wielkanocnej nauce z drugiej strony: gdy człowiek ponosi klęskę, Bóg wraca, by go ocalić. Człowiek poniósł klęskę w Edenie, gdy wpadł w sidła Szatana, a Bóg obiecał Odkupiciela, który wybawi go od grzechu. Człowiek poniósł klęskę w Wielki Piątek, gdy przybił do drzewa hańby jedyną prawdziwą dobroć, jaką ta ziemia kiedykolwiek oglądała, a Bóg powrócił w dzień wielkanocny, by zbawić go od jego własnych oszustw. To szczególny fakt, który ukazuje historia: człowiek nigdy nie wydaje się tak bardzo potrzebować Boga jak właśnie wtedy, gdy zawiedzie go własna siła; Bóg najwięcej czyni dla nas wówczas, gdy jak Piotr pracujemy całą noc i nie łowimy niczego.

Znajdujemy się na takim właśnie etapie naszej współczesnej historii. Człowiek zdecydowanie poniósł porażkę. Wszystkie rzeczy na świecie, do których miał zaufanie – demokracja, edukacja, ekonomia, nauka i humanizm – zawiodły. Edukacja oderwana od religii ćwiczy umysł w znajomości faktów, które umierają, i bezużytecznych teorii; całkowicie zaniedbując wolę, na końcu płodzi jedynie to, co jest zdolne do racjonalizacji zła. Nauka przestała zajmować się realiami i stała się pseudomistyczna, natomiast budowniczy zbrojeń wykorzystali jej zdobycze do niszczenia ludzkiego życia. Filozofia postradała rozum, a potem duszę i stała się jedynie historią teorii, pewną tylko jednego: że możemy nie wiedzieć. Ekonomia, skupiona na wypracowywaniu zysków, zamiast ucłowieczać cel produkcji, pożera swe nadwyżki, aby utrzymać wysokie ceny. Dziewiętnastowieczna demokracja stała się reakcyjnym liberalizmem, tak oderwanym od prawdy, że wolność zmieniła się w synonim swawoli.

Człowiek poniósł porażkę! Uzbrojenie, w którym pokładał ufność, zawiodło; laska, na której się opierał, złamała się. Nasze lekarstwa okazały się tylko odroczeniem egzekucji. Każdy z idoli postawionych przez człowieka po kolei upadał. Każda wieża Babel gmatwała mowę i stawała się

wielkim braterstwem w niedoli. Lecz to wszystko nie jest pozbawione nadziei. Gdy człowiek ponosi porażkę, Bóg wraca, by go ocalić. Kościół był na wygnaniu przez czterysta lat, gdy rozhulał się indywidualizm, co przyniosło skutki w postaci kolektywizmu; obecnie jest jak zmartwychwstały Chrystus powracający z misją ratunkową. Przekracza granice trzeszczących cywilizacji. Człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę, że ukrzyżował to, co mogło go zbawić. Niczym syn marnotrawny odkrył, że najlepszym miejscem jest dom Ojca. Świat stoi u początku wielkiego duchowego renesansu. Następnym pokoleniem Kościoła będą nie tylko ci, którzy się w nim urodzili, lecz także ci, którzy zostali dla niego ponownie zrodzeni. Do barier, przy których udziela się Komunii Świętej, będą podchodzić nie tylko tacy, którzy jak Jan stali pod krzyżem, lecz również ci, którzy jak centurion przekłuli bok Chrystusa i odkryli płynącą z niego miłość.

Najodważniejsi przywódcy nowoczesnego społeczeństwa, ci, którzy odczuwają palące oburzenie na widok przeraźliwego spustoszenia panującego w bezbożnym świecie, wyznają poprzez swą konsternację, że nie ma innego miejsca powrotu poza tym, które uznawali za grobowiec, a które w rzeczywistości jest pustym grobem. Zapytaj ich, dlaczego szukają Boga teraz, gdy są przekonani, że humanizm zawiódł, a odpowiedzą: „Ponieważ żyjemy we wspólnym świecie, gdzie ludzie są ze sobą zbiorowo złączeni w narody, grupy i społeczności międzynarodowe. Zatem nie chcę więcej indywidualnej religii ani indywidualnej filozofii, tak jak nie chcę indywidualnej astronomii czy indywidualnej tabliczki mnożenia. Chcę w zbiorowości czuć swą zależność od Boga, modlić się wspólnie z innymi i składać razem z innymi ofiarę żywemu Bogu. Znajduję to w Kościele jednej wiary, jednego pana, jednego chrztu, ponieważ przeniknięty jest on duchem Pięćdziesiątnicy, który wszystkich łączy w jedno z duchem żyjącego Chrystusa”. Inni powiedzą: „Chcę posłańca, który nie przekłamuje posłania. Znajduję go w Kościele, który jako posłaniec zmartwychwstałego Chrystusa odmawia fałszowania posłania, aby dopasować je do fantazji czy fanaberii każdej osoby, do której jest głoszone”.

Jakakolwiek jest tego przyczyna, pozostaje faktem rzecz następująca: świat stopniowo zaczyna widzieć, że nasza walka nie toczy się pomiędzy demokracją a totalitaryzmem czy socjalizmem i kapitalizmem, lecz że trzeba

dokonać wyboru pomiędzy zbrataniem się w Antychryście a braterstwem w Chrystusie. Wielkanoc zaś przypomina nam, że jakkolwiek gorzka byłaby ta walka, nie należy mieć żadnych wątpliwości w zwycięstwo – p o n i e w a ż gdy Bóg jest sprzymierzeńcem, człowiek może być pewien, że odniósł zwycięstwo.

Nawet jeśli człowiek odwróci się od tego, co uważał za grób, stoi obok niego Wódz wszystkich wojen, mający nie rany, lecz blizny, symbole zwycięstwa nad śmiercią i nienawiścią, gwieździsty sztandar zwycięstwa nad złem. A gdy ludzie ponoszą porażkę, Bóg wraca na posępną ziemię z sylwetkami krzyży rysującymi się na tle nieba, każąc ludziom podnieść ręce i jak kolejni Tomasz dotknąć tych ozdób zwycięzcy, by uleczyły ich z niedowiarstwa. Żyćcie w nadziei, gdyż Chrystus zmartwychwstał! Przygotujcie się na nadejście miłości Chrystusowej! Przynieście swe serca, by dokończyć zbawienia, bo nadciąga odkupienie jak wielka burza! Opowiedzcie się za tym zmartwychwstałym życiem!

Chleb Twego Ciała daj mi, bym walczył dla Ciebie,
krew Twoją Świętą daj mi do picia miast wina,
póki wciąż zło wyzywa mnie, bym walczył dla Ciebie,
póki wciąż się toczy wojna, prześwietna i boska¹².

Studdert Kennedy, *The Suffering God*¹³

Przynieście swe małe kalwarie na Jego wielką Kalwarię, ponieważ jego *via crucis* jest *via pacis*. Drogą do pokoju jest krzyż. „Weźcie swój krzyż i naśladujcie Mnie”. Wówczas pośród stłumionego bitewnego grzmotu zabrzmie jak dzwon zwycięski okrzyk wzniesiony do Króla Królów i Pana Panów, ponieważ gdy człowiek ponosi porażkę, Bóg wraca, by dać mu zwycięstwo!

- [1](#) Polskie tłumaczenie wszystkich cytatów biblijnych za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, wyd. piąte na nowo opracowane i poprawione, Pallottinum, Poznań 2003 – przyp. red.
- [2](#) Angielski poeta religijny epoki baroku – przyp. red.
- [3](#) Statystyka z 1939 roku – przyp. tłum.
- [4](#) Z wiersza Williama Knoxa, poety żyjącego na przełomie XVIII i XIX wieku, cytowanego często przez Abrahama Lincolna, prezydenta USA – przyp. tłum.
- [5](#) Czyli 10,36 m – przyp. tłum.
- [6](#) W: Oskar Wilde, *Poezje*, przeł. J. Kasprowicz, Lwów 1924 – przyp. tłum.
- [7](#) Angielski ksiądz anglikański, misjonarz, pisarz i poeta żyjący na przełomie XIX i XX wieku – przyp. red.
- [8](#) Święta Teresa od Dzieciątka Jezus – przyp. tłum.
- [9](#) Dziewiętnastowieczna poetka angielska – przyp. red.
- [10](#) Por. William Szekspir, *Makbet*, przeł. L. Ulrich, akt trzeci, scena czwarta – przyp. tłum.
- [11](#) Anne-Marie Bigot de Cornuel, siedemnastowieczna francuska arystokratka i pisarka, znana jako autorka cytowanego powiedzenia – przyp. red.
- [12](#) W tym przytoczeniu albo pojawia się nieścisłość, albo Fulton Sheen rozmyślnie parafrazuje; w oryginale wiersz brzmi trochę inaczej, a można by go przełożyć tak: „Chleb Twego Ciała daj mi, gdy mam walczyć, / krew Twoją Świętą daj mi do picia miast wina, / póki wciąż jest jakieś zło, z którym mam skończyć, / póki wciąż się toczy wojna, prześwietna i boska” – przyp. tłum.
- [13](#) Ksiądz anglikański, kapłan w brytyjskiej armii podczas pierwszej wojny światowej, poeta – przyp. red.